Zeszyt dziesiąty. Rocznik szósty.

SZCZĘŚCIE KOBIECE.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(CIĄG DALSZY)

ROZDZIAŁ XIII.

Po wyjeździe Burskiego i Olgi zapanowała w pałacu taka atmosfera, jakby tam kto umarł.

Służba nie mogła sobie tak nagłego wyjazdu wytłumaczyć; a wnosząc, że powody do tego były nadzwyczaj ważne, w milczeniu patrzała na pana Alberta i Adelaidę.

Te milczące twarze były straszne, były nieznośne. Pan Albert zamknął się w swojej galeryi, ale Adelaida nie miała się gdzie zamknąć. Chodziła po budoarze, brała i odkładała książki, chciała grać lub spiewać, ale grać i spiewać nie mogła.

Jedyną jej pociechą w tem nagłem osamotnieniu mogło być wewnętrzne przekonanie, że zrobiła uczynek szlachetny. Ku takiemuż więc przekonaniu były teraz skierowane wszystkie władze jej duszy.

Wszystko, czemkolwiekbądź podpierała dawniej swoje rozumowania, zawezwała teraz na świadka przed swoje sumienie, i po dosyć bolesnej walce przyszła do przekonania, że to co zrobiła, było dla Olgi dobre.

Związek Olgi z Edmundem był wprost niemożliwym, a gdyby nawet Edmund jak bohater w powieści uwziął się z nią ożenić, w najbliższej przyszłości odsłoniłyby się im chmury nieszczęścia, których dzisiaj nie widzieli.

Gdyby przynajmniej Edmund był bogatym, to mógłby może sobie pozwolić tej fantazyi i za nią potem drogo zapłacić, kryjąc się po za granicą. Ale w takich okolicznościach, w jakich był dzisiaj, byłoby to dla niej i dla niego istnem zabójstwem!

Tak rozumowała Adelaida, i była pewna, że zraniwszy może zrazu jak chirurg serce Olgi, dała jej podstawę do prawdziwego szczęścia.

Argumenta szlachetne, chociażby były w stosunku do sumienia sofizmatami, mają tyle jeszcze uroku i siły, że mogą urojoną szlachetność zamienić w rzeczywistą.

Dla uspokojenia swego drażliwego sumienia szukała Adelaida szlachetnych pobudek w swojem postępowaniu.

I tak bawiąc się tą szlachetnością, przyzwyczajała się do niej coraz więcej, i stawała się w oczach swoich coraz więcej szlachetną.

O prawdziwym powodzie całego swego postępowania nie mogła nawet teraz pomyśleć. Nie myślała wcale o Edmundzie, nie myślała o jego miłości, bo na to obruszała się teraz cała jej istota. Myśl podobna byłaby teraz połamała kunsztowne rusztowanie, które wystawiła moralnie, aby siebie przed samą sobą usprawiedliwić.

To też gdy Edmund po trzech dniach przyjechał i cały rozgorączkowany wpadł do pałacu, Adelaida przyjęła go grzecznie, ale zimno.

— Gdzie Olga? — zapytał z niezwykłym wyrazem na twarzy.

— Gdzie teraz przebywa, nie wiem — odpowiedziała spokojnie Adelaida — bo Burski miał tam jechać, gdzieby się dowiedział, że jest co do kupienia.

— Jakto? I ty kuzynko mówisz to tak zimno, tak obojętnie?

— Obojętność, z jaką mówię, jest moją najwyższą zasługą w tym razie! Jestto dowodem, że nie mam egoizmu.

— Cóż nazywasz egoizmem?

— Egoizmem nazywałabym to, gdybym sobie życzyła, aby Olga na zawsze dla mojej przyjemności przy mnie została i całą przyszłość swoję mnie poświęciła.

Edmund słuchał ją z wyrazem, jakby nic nie rozumiał.

— Przecież zastanów się tylko, kochany kuzynie, jaką przyszłość mogła mieć przy mnie Olga? Wiesz, gdzie się urodziła, a wiesz, gdzie ją wychowanie postawiło. Przecież nikt z ludzi naszej sfery nie mógłby się z nią ożenić wtedy, gdy jej rodzony ojciec mieszka w izdebce ekonoma. A tak rozłączywszy się zemną, z ojcem, który służbę opuścił i kawałek pola nabędzie, łatwiej jej będzie znaleźć kogoś, który do niej się zbliży tem śmielej, że to już nie będzie atmosfera pałacu! Tutaj taki, za któregoby wyjść mogła, nie miał przystępu, a tam może łatwo o nią konkurować jaki mały dzierzawca lub oficyalista.

Edmund zagryzał usta aż do krwi. Spojrzał przeszywającym wzrokiem na Adelaidę. Twarz Adelaidy była spokojna, nie było na niej ani cienia żadnej przewiny.

Edmund przeszedł się kilka razy po pokoju. Adelaida wzięła tymczasem książkę do ręki.

— Jak to? — zawołał gniewnie Edmund — i ty w tej chwili... gdy ja... tu jestem, chcesz się zabawiać czytaniem?

— Bardzo naturalnie, jeźli ktoś zamiast rozmawiać ze mną, chodzi sobie po pokoju! — odpowiedziała chłodno Adelaida.

— Cóż będę rozmawiał, jeźli mi nie chcesz powiedzieć, gdzie jest Olga.

— Jesteś dzisiaj napastnikiem! Nie wiem, z kąd takie złe usposobienie z sobą przywiozłeś.

— Bóg świadkiem, że jechałem z innem usposobieniem!

— Cóż ja temu winna, że wobec mnie zmieniło się to dobre usposobienie w tak fatalne.

— Drażnisz mnie co raz więcej.

— Przecież nie rzucisz się na mnie z puginałem?

— Miałbym w istocie ochotę zamordować kogoś w tej chwili — z przymuszonym uśmiechem rzekł Edmund.

— Może i to niezadługo nastąpi! — odparła również z uśmiechem Adelaida — jak to się ojcu niedawno śniło!

— Co śniło się ojcu? — z zadziwieniem zapytał Edmund.

— Śniło mu się, żeś na czele chłopów wpadł do pałacu i wszystkich mordował.

Edmund groźnie spojrzał na Adelaidę.

— Czy się gniewasz na ojca za sen jego? — zapytała śmiejąc się Adelaida.

— Gniewam się na ciebie — odpowiedział Edmund — że to tak obojętnie wypowiadasz.

— Ah! Prawda! C'est le ton, qui fait la musique!

Adelaida rozśmiała się tutaj srebrnym, czarującym śmiechem i poskoczyła do fortepianu, aby zdumiałemu kuzynkowi coś wesołego zagrać.

Edmund zrazu fukał się i dąsał, chodził niejakiś czas zamyślony po pokoju, a gdy stary Anotal do herbaty wszystkich zaprosił, wziął podaną przez Adelaidę rękę i do pokoju pana Alberta wyszedł.

Tym sposobem przeszedł Edmundowi pierwszy dzień nieobecności Olgi w pałacu.

Gdy poźnym wieczorem wrócił do domu, czekał go Mirski z tak ważnemi raportami, że aby go należycie wysłuchać, musiał wszystkie myśli swoje na te raporta skoncentrować.

W nocy gdy zasnął, zjawiła się przed nim Olga i wyrzucała mu, że tak mało myślał przez cały dzień o losie biednej, opuszczonej sieroty. Edmund tłumaczył się przed nią jak mógł, opowiedział jej całą swoję rozmowę z Adelaidą, opisał wszystkie szczegóły wspólnej z panem Albertem herbaty, przy której o niczem innem jak tylko o monogramach Rubensa i Rafaela rozmawiał, dodał jeszcze wkońcu ważne raporta Mirskiego, przed któremi wszystko inne ustąpić musiało. Olga przyjęła ze łzą to tłumaczenie się kochanka, pokiwała mu trochę rożowym paluszkiem i zaleciła poprawę.

Edmund chciał się szczerze poprawić, i w tym celu obudził się raniej niżeli zwykle, ale zaledwie oczy przetarł, już stał przed nim Mirski, aby go w ważnym interesie zabrać do miasteczka.

I tak przeminął dzień jeden, drugi i trzeci, a Edmund jeszcze nie miał czasu, aby sobie stosownie do zmienionej sytuacyi jakiś program ułożyć i nanowo do Olgi się zbliżyć.

Najmocniej to go uderzało, że Olga wyjeżdżając z pałacu nie zostawiła mu najmniejszej wiadomości o sobie.

Wprawdzie wiedział o tem Anatol, że Olga nim odjechała, miała z żydkiem pachciarzem jakąś krótką konferencyą, a potem widział na własne oczy w czapce żyda liścik z niewyraźnym adresem do Edmunda. Ale pachciarz prawdopodobnie ten list zgubił, a Edmund nie miał teraz żadnego śladu, że Olga wyjeżdżając o nim pamiętała.

Martwiło go to i niepokoiło, ale nie mogąc sobie tego naprędce wytłumaczyć, postanowił przy najbliższym wolnym czasie dobrze i gruntownie nad tem się zastanowić. Nawałem bowiem spadły teraz na niego różne rzeczy, które uważał za obowiązki swoje pierwszorzędne.

Tymczasem poza nim zaczęła się ruszać opinia publiczna. Nagły wyjazd Olgi i Burskiego, i to wyjazd bez śladu, gdzie i dokąd, zaniepokoił niektórych ludzi, którym

się zdaje, że muszą o wszystkiem wiedzieć. Ponieważ jednak o wszystkiem nie mógł nikt wiedzieć, zaczęto starannie zbierać materyały do uzupełnienia tego, o czem nie wiedziano.

Opinia publiczna ma w takim razie podziemne komunikacye, któremi wraz z kałem ulicznym sączy się także prawdziwa zdrojowa woda. Ponieważ jednak trudno jest wody od kału odłączyć, więc najczęściej to, co opinia daje, jest woni nieprzyjemnej.

Otóż najprzód dowiedzieli się ludzie, że między Olgą a Edmundem był stosunek miłośny. Liczne tego świadectwa pochodziły z ust służby pałacowej, która w takim razie jest zawsze nieomylną. Uzupełniając to mówiono dalej, że stosunek między Olgą a Edmundem nie podobał się w pałacu, mianowicie panu Albertowi, który wielce przestrzegał czystości starego rodu. A kiedy rzecz, jak mniemano, stała się już bardzo drażliwą, pan Albert użył nieobecności Edmunda, aby ten węzeł gordyjski przeciąć jednem zamachem. Zawołał więc córkę i ojca (niektórzy nawet powtarzali tę rozmowę) i zaproponował im pewną sumkę, jeźli sami ten nielogiczny stosunek zerwą bez skandalu.

Olga i Burski przyjęli propozycyą, schowali pieniądze i znikli z przed nosa zakochanego Donkiszota, śmiejąc się z niego śmiechem Sancho-Panzy, jeżliby mu przyszła ochota walczyć z wiatrakami.

Tak sobie opinia publiczna, bez żadnych względów ubocznych, wytłumaczyła całą tę sprawę. Były tylko drobne odcienia w zapatrywaniu się, ale ostatecznie wszyscy zgodzili się na jedno i to samo. Dziwnym sposobem mężczyźni stawali po stronie Olgi; twierdzili, że wyjeżdżając z pałacu płakała, że prawdopodobnie niesprawiedliwie z nią się obeszli; a po drugiej stronie grupowały się kobiety, które na biednej Oldze ani suchej nitki nie zostawiły. Utrzymywały uporczywie, że ona sama ofiarowane pieniądze do torebki schowała, aby sobie za nie gdzie męża kupić tak dobrze, jak swoje pretensye do Edmunda dobrze sprzedała.

Za kilka dni, gdy Edmund nieco od raportów Mirskiego się uwolnił, wpadły mu do ucha te wieści z wszelkiemi dodatkami prawdopodobieństwa.

Była chwila, że Edmund mógłbył pójść drogą bohatera. Z biciem serca wpadł do propinatora, który pieniądze miał widzieć u Burskiego, a pochwyciwszy go za pas szabasowy, omało co wnętrzności z niego nie wypuścił.

Przestraszony propinator pogmatwał niefortunnie to, co widział i wiedział, a chcąc ze strachu półgębkiem odpowiadać, wypowiedział rzeczy, które stokrotnie gorsze były od całej prawdy.

Edmund trącił żyda i puścił konie cwałem do pałacu.

W pałacu przyjęła go Adelaida spokojnym uśmiechem.

— Czy to prawda, że Burski otrzymał od was grube pieniądze? — zapytał z gorączkowym wyrazem na twarzy.

— Ojciec dał mu coś — krótko odpowiedziała Adelaida.

— Jak to? kilka tysięcy?..

— A cóż to jest za dwadzieścia sześć lat wiernej służby?

— Czy Olga wiedziała co o tych pieniądzach?

— Sądzę, że wiedziała.

— Czy to prawda, że wyjeżdżała z pałacu wesoła i spiewająca?

— Była dosyć wesoła. Czy spiewała, tego nie pamiętam.

— Anatol nawet mówił, że tańczyła po pokoju.

— Jeźli z Anatolem o tem rozmawiasz, to pocóż mnie się pytasz?

Adelaida odwróciła się tutaj od kuzynka i zbliżyła się do okna. Oparła się ręką i zadumana spojrzała w dolinę.

Edmund stał chwilę jakby bez przytomny. Główne podstawy tego, o czem ludzie mówili, były prawdziwe, ale czy wszystko było prawdziwe?

Nie, temu Edmund nie mógł uwierzyć. Serce tłukło mu się w piersi na samą myśl, krew uderzyła mu do głowy.

Nie, to być nie mogło, Olga nie mogła sprzedać go za paczkę banknotów, aby za to kupić sobie męża w lepszych warunkach!.. To źli ludzie tak wymyśleli, to być nie może.

Ale dla czegoż wyjechała bez pożegnania, nie zostawiwszy żadnej wiadomości po sobie? Dlaczegoż w tak tajemniczy sposób zatarto ślady za sobą, że ich w żaden sposób odszukać nie można?

Czasem ludzie tylko z niedołęstwa uwierzą w nieszczęście swoje, bo inaczej musieliby coś przedsięwziąć.

Edmund nie wierzył jeszcze teraz w nieszczęście swoje, nie wierzył, że Olga sprzedała go za paczkę banknotów, ale był już na drodze do tej wiary.

Ustawicznie szturmowały mu do duszy zapytania: dlaczego Olga odjechała, dlaczego na niego nie czekała, dlaczego wyjeżdżając była wesołą, że aż spiewała i tańczyła? Tak przecież kobieta nie robi, kobieta nie rozłącza się tak łatwo z tem, z czem wzrosła, nawet z kanarkiem i z papugą, z pieskiem i kotkiem.

Dlaczego to wszystko zrobiła Olga?

Pytania te stawały się coraz groźniejsze, a coraz słabszą była odpowiedź na nie.

Ludzie słabego umysłu nie lubią długo przebywać w sytuacyi dramatycznej. Męczy to ich siły niodołężne.

Edmund miał wiele dobrych i szlachetnych instynktów, ale wychowanie nie sformułowało tych w pewne zasady, jak się to zazwyczaj dzieje u ludzi jego kroju.

Cierpiał on w sercu wielką boleść, ale byłby może wdzięczny temu, ktoby go przekonał, że Olga rzeczywiście go sprzedała, i że w takim razie nie ma za czem tak bardzo rozpaczać.

Od chęci takiego przekonania do samego przekonania nie bardzo daleko. Przekonanie mogłoby go uspokoić, a brak tegoż zawieszał go między niebem a ziemią, wkładał na niego dosyć uciążliwe obowiązki walczenia z przeszkodami, a przedewszystkiem wytrwałości w tej walce.

Gdyby jeszcze ta walka przy nim się odbywała, ale szukać tej walki gdzie po bożym świecie, szukać jej prawie bez śladu, bez języka...

Być może, że takie myśli niedojrzały jeszcze w duszy Edmunda, być może, że jeszcze roznamiętnione serce nie przypuszczało tych myśli, ale Adelaida dostrzegła swem okiem, że prędzej czy poźniej Edmund temi myślami swoje bohaterstwo zakończy.

— Cóż tam tak ciekawego widzisz w tej dolinie? — zgryźliwie zapytał Edmund — bo gniewało go, że Adelaida wobec jego wzruszeń była tak spokojną.

— Patrzę na potok — odpowiedziała spokojnie Adelaida — który tam z lasu z taką fantazyą wypływa, a pod naszym ogrodem tworzy brzydką kałużę.

— Cóż on temu winien, że mu położenie ziemi nie sprzyja?

— Prawda, rzeczy martwe zawisły od okoliczności, w jaki je przypadek rzuci.

— I ludzie podlegają tym samym prawom.

— Mylisz się kuzynku. Ludzie powinni panować nad okolicznościami. Tylko leniwi stosują się do prawa i niedołężni.

Edmund zacisnął zęby.

— Przecież nikt głową muru nie przebije! — odrzekł po chwili z goryczą.

— Mur trzeba z dala widzieć i pod niego nie przychodzić, jeźli kto ma słabą głowę.

— Nie wiem do czego kuzynka te słówka stosuje?

— Ćwiczę się w dialogu.

— Jesteś bez serca! — zawołał Edmund i tupnął nogą.

— A gdzież cię to serce twoje zaprowadziło? — rzekła Adelaida kładąc mu białą rączkę na ramieniu.

Edmund poczuł w oczach łzy. Widząc to Adelaida obróciła się szybko, aby tych łez nie widzieć, i usiadła do fortepianu. Zaczęła grać sonatę, którą zazwyczaj grywała Olga.

Edmund rzucił się na kozetkę. Wdzięczny był teraz kuzynce, że grała, bo miał czas pofolgować swemu sercu, które mu coś niedobrego obiecywało.

Serce to stawiało mu przed oczy różne wspomnienia tak niedawnych czasów.

Nie tak dawno jeszcze, jak w tym samym pokoju grała złotowłosa Olga, a z pod jej różowych paluszków tryskały tak niebiańskie tony!... Tam na stole leżała cytra, z tej cytry wychodziły nieraz jęki melancholijne, które tak słodko do duszy przemawiały...

Dzisiaj wszystko się zmieniło. Olga i szczęście jego gdzieś za górami; gdzież ich szukać? A zresztą czy warto uganiać za czemś, co nas samo porzuca?

Serce Edmunda spiewało mu teraz najpiękniejszą — elegią. Nad elegią nie umiał się wznieść!

Tymczasem sonata postępowała coraz dalej, akordy i tony rosły coraz więcej, coraz większy potok wypływał z pod palców Adelaidy, która nad tym potokiem melodyi i parafrazy panowała spokojna z twarzą zimną i nieruchomą...

W tej chwili otworzyły się drzwi od galeryi, i na progu okazał się pan Wojciech, a za nim pan Albert w oliwkowym surducie.

Adelaida zarumieniła się lekko i powstała. Edmund przerwał swoję elegią.

— Przepraszam — ozwał się z grzecznym uśmiechem pan Wojciech — przepraszem, żem przerwał sonata eroica.

— Pan jesteś muzykalny? — zapytała trochę zdziwiona Adelaida.

— Znam potroszę muzykę, a przedewszystkiem lubię ją — odpowiedział pan Wojciech, a pomarszczona twarz starego człowieka wygładziła się przyjemnym uśmiechem.— Ale widzę jeszcze jednego amatora sonaty — dodał podchodząc do Edmunda i podając mu rękę.

Edmund ocknął się i uścisnął podaną rękę.

— Już to moja kuzynka wybaczy mi — odrzekł — jeźli się szczerze przyznam, że nie wiedziałem wcale, co grała w tej chwili!

— Prawda, prawda — odparł pan Wojciech — kto lubi burze i huragany, szum wody i łamot lasów, temu harmonijne tony nie przypadają do smaku.

Edmund spojrzał na pana Wojciecha trochę zdziwiony.

— Kuzyn nasz jest dopiero amatorem tych rzeczy — wtrąciła z uśmiechem Adelaida.

— Ach, nie ma nic gorszego jak amatorstwo — podjął pan Albert z oburzeniem — najmniej pięć lat życia straciłem dlatego, że tyle amatorów malowało obrazy. Cóżbym dał za jednego mistrza! A tu amator albo prosty wyrobnik! Wszystkie obrazy tak zwanych amatorów są obrzydliwe.

Edmund zmarszczył czoło i ozwał się:

— Stryj sprowadził rozmowę o amatorach na niewłaściwą drogę. Zdaje mi się, że pan Wojciech coś innego rozumiał, gdy te słowa wymawiał.

— Być może, kochany panie Edmundzie — odparł pan Wojciech z dobrotliwym uśmiechem — ale nie będziesz się za to gniewał na człowieka, który jest dwa razy starszy od ciebie.

Przy ostatnich słowach spojrzała Adelaida z uwagą na pana Wojciecha a potem przeszła oczyma po Edmunda, jakby ich porównywać chciała.

Edmund uśmiechnął się i ruszył ramionami.

— Już my się zrozumieli — zagadnął pan Wojciech podając mu rękę — ale to nie robi nas nieprzyjaciółmi.

— Zdaje mi się — odparł Edmund — że wszyscy jesteśmy w jednym obozie, różnimy się tylko barwą.

— A wierzaj mi, panie Edwardzie, że nie ma dla tegoż obozu większej klęski, jak kiedy sami swoi, różniący się tylko barwą, między sobą bić się zaczną.

Edmnd zarumienił się.

— Winni są ci, którzy rozmaitość barw wprowadzają do obozu, na sposób autoramentów zagranicznych! — odpowiedział z rozdrażnieniem.

Pan Wojciech podstąpił ku niemu. Położył mu rękę na ramieniu i rzekł z uśmiechem doświadczonego człowieka:

— Znane mi jest prawo, panie Edmundzie, że młodzież z natury swojej musi się ruszać. Ale biada temu, kto ruch na nieznanej dobrze sile opiera! Siła ta może być albo za słabą, a wtedy łamie się i my wszyscy na dół upadamy, albo ma za wiele paliwa surowego, a wtedy może nastąpić zgubna dla nas wszystkich eksplozya.

Edmund myślał nad odpowiedzią czas niejaki.

— Domyślam się — odpowiedział po chwili — co pan masz na myśli, przemawiając do mnie w ten sposób. Ale mogę, co do mnie, temu wprost zaprzeczyć. Być może, że przez moich ludzi sięgnąłem na siebie jakie pozory, ale wręcz panu oświadczam, że za ludzi moich nie odpowiadam, chociaż im zupełną wolę zostawiam.

— Wierzę panu, i słowa honoru na to, coś powiedział, nie żądam.

Edmund zarumienił się. Spostrzegła to Adelaida.

— Zwracam uwagę panów — rzekła z uśmiechem — że jestem tutaj obecną, a rozmowa toczy się w sferze dla mnie niezrozumiałej i niemiłej.

— Najmocniej przepraszam — szybko ozwał się pan Wojciech, i mimo słabej nogi dosyć zręcznie podskoczył ku Adelaidzie—najmocniej przepraszam, że dopuściłem się tak ciężkiego grzechu. Ale piękna kuzynka przebaczy mnie i kuzynkowi, że razem zapędzili się na pole niewłaściwe!.. Wróćmy do muzyki.

— Już zapoźno — z śmiechem odparła Adelaida zamykając fortepian.

— Proszę do stołu! — zawołał w tej chwili Anatol.

— Otóż to najlepsze z wszystkiego — z śmiechem głośnym zawołał pan Albert — Anatol rozstrzygnął wszystkie spory i wszystkie gniewy załagodził.

Adelaida podała ramię panu Wojciechowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ustęp z 5 aktowej tragedyi Bronisława Komorowskiego:

KROK,

OSTATNI ARKONY KSIĄŻĘ,

oryginalnie, wierszem napisanej na tle dziejów Słowiańszczyzny Północnej *).

OSOBY:

KROK, książę Arkony.
SŁAWINA, jego żona.
LUDMIR, SŁAWÓJ, DALIBOR, PLUCHA, } dworzanie i wodzowie Kroka.
RUNO, wajdelota Arkony.
LUTKA, ksiądz Znicza.
ŚNIEWA, z orszaku dziewic Sławiny.
HENRYK, książę Retry.
MAKARI, DRAJDEN, } wodzowie Henryka.
WIERSZ, KLETA, } lutniści.
POSEŁ RETRZAŃSKI.
RYCERSTWO KROKA i HENRYKA. — DWORZANIE KROKA. — DZIEWICE SŁAWINY. — LUD.

Rzecz dzieje się na wyspie Rugii około r. 1105.

AKT I.

SCENA V.

(Odmiana. Przestronna komnata w drewnianym zamku Arkońskim).

SŁAWINA, ŚNIEWA, WIERSZ, KLETA, DZIEWICE.

(Dziewice przy krosienkach i wrzecionie; Wiersz i Kleta wybierają ostatnie tony na swych lutniach w chwili odsłonięcia kortyny).

SŁAWINA (do siebie)

O lepszych światach, o jaśniejszych niebach
Opowiadacie mi swą pieśnią rzewną,
Jakgdybyście wy o wielkich potrzebach
Wiedzieli serca mego... O! królewną
Byłam u matki, jak ta w bajce... Cicho!
Cicho bądź serce! Dolę swoją lichą
Masz znieść w milczeniu.—Ach, jakież to myśli!..

(Do otoczenia).

Nućcież mi dalej druhny miłe; dzięki
I wam, o wdzięczni piewcy, żeście przyszli

*) Utwor powyższy, wielokrotnie ostatniemi czasy omawiamy w czasopismach, wkrótce wyjdzie w osobnej książce i ukaże się na scenie lwowskiej. P. R. „Strzechy.“

Ponurą chwilę i orężne szczęki
Rozprószyć wśród tych komnat, dziś odludnych,
Serca ukoić dźwiękiem lutni cudnych.
Ach, ci mężowie, tak skorzy do boju,
Nie baczą, w jakim doma niepokoju
Swe zostawiają niewiasty i lękach —
A nam tu tylko nitką na krosienkach
Snuć — i oblewać łzami — i podziwiać
Ich krzepkie czyny...

ŚNIEWA.

Przebóg, jasna księżno!
Komużby ognie domowe ożywiać
Gdyby nam przyszło wieść sprawę orężną?
Komużby przyszłe rycerze piastować?

SŁAWINA.

O! że domowi memu nie łaskawe
Bogi! — Nieszczęsna! muszę oczy chować
Widząc kmiecianki nieraz, jak zabawę
Wiodą z dzieciątkiem słodką...

ŚNIEWA.

Eh! nie smućcież
Serca napróżno, księżno! Druhny, nućcież!
Wy lutnią wiedźcie głosy nasze, druhy.

WIERSZ.

Jak wola jasna... Więc coś z Franków mytu...

(Wchodzi Lutka).

SCENA VI.

DAWNI, LUTKA.

LUTKA.

Księżno, są wieści o naszych? Ej, zuchy,
Stroicie lutnie? Cyt! pełno w nich zgrzytu! —
Zatykam uszy. — Na Marzannę! księżno,
Że się pozwalasz darzyć niedołężną
Pieśnią tych grajków dziwię się niemało!
O gdzieżeś, Słowian jaśniejąca chwałą
Ty bojanowa, stara ludu lutni,
Że nam tu grają ci ckliwi, ci smutni!
Ach księżno! czarne przeczucia mię dręczą!
Przepada jakiś świat serdeczny... Jęczą
W powietrzu jakieś nam złowrogie mary; —
Miałżeby dzisiaj oręż Kroka stary
Doznać od wroga szczerby? O bogowie!
Czyliż nie walczą tam Słowa synowie
O swą mogiłę i o dom swój drogi?
O tak! spokojni bądźmy, próżni trwogi,
I zbądźmy z serca te niewieście troski:
Wszak tam hetmani Ludmir — on! — druh boski!

SŁAWINA.

Kiedyż ustaną niepokoju dreszcze!
Kiedyż rycerze nasi z boju wrócą?

WIERSZ.

Na to, o jasna pani! są tu wieszcze,
Aby, gdy słodką pieśń swoją zanucą,
Lżej było sercu czującemu srodze
Chwilę rozłąki.

KLETA.

Tak, jesteśmy na to!

LUTKA.

A ja mniemałam, że wieszcze, to wodze
Ludu swojego — któremu skrzydlatą
Pieśń dają w trwodze — nie zaś tęsknot niańki
Wyśpiewujący pieśni do kochanki!
Więc mi też wstrętne to wasze gędzenie —
Nie strójcie lutni! nie, nie. — Bojanowa
Arfa gdy poszła u was w zapomnienie,
To mdły i lichy dźwięk waszego słowa
Drażni mi tylko serce!

SŁAWINA.

Nazbyt ostro
Sądzicie piewców naszych jasna siostro!
Pozwólcież — niech nam po swojemu stroją
Swe lutnie. Może też właśnie ukoją
Ich pieśni smutki nasze; boć to pewna,
Że w duchu naszym zgasła nuta rzewna,
Że już pieśń swojska zbladła, pani miła.

WIERSZ.

Tak jasna ksieni! dawno się przeżyła
Lutń bojanowa — umilkła na wieki!
Dziś jeszcze tylko dziady i kaleki
Jej potarganą pobrzękują struną
Gawiedzi wiejskiej!

KLETA.

Jak stary ów Runo,
W Swantewitowej leśni smętnych cieniach
Przeklinający losy...

LUTKA.

Co za pycha!
Patrzcie! on głosić śmie, że w boskich pieniach
Umilkła stara, wieszcza lutń — że cicha
Będzie na wieki i nigdy już ludu

Do świętej jego nie zagrzeje sprawy —
Że nie objawi nigdy bogów cudu
W rodzie Bojana! Natomiast koszlawy
Język twój miałby tu może przewodzić
Zapałom ludu, co? O, na Peruna!
Nimby się lud mój zdołał tak wyrodzić
By w tobie bogów uznawał zwiastuna
Źródła swych natchnień zamąciwszy czyste,
To niechby nas wprzód noce wiekuiste
Wzięły z tąd wszystkich! niechby oręż Kroka
Prysł o Gotszalka krzyże w tem spotkaniu!
Niechby na basztach arkońskich z wysoka
Pobłyskiwała o przyszłem zaraniu
Chorągiew krzyża nad trupy naszemi,
Abyśmy sromu swego nie przeżyli
I nie przeżyli śmierci swojej ziemi!
O dobra pani! nakaż od tej chwili
Grajkom tym lichym, tym oprawcom słowa,
Milczeć na zawsze, bo ich głos puhaczy
Trupem zaswędza powietrze! — Bądź zdrowa
Arkony księżno; — idę, do rozpaczy
Nie chcąc być tutaj przywiedzioną, słowy,
Co bluźnią sercu. Idę na ratusze,
W żelazo rzucić się od stóp do głowy —
Jak chłop na służbie bogów stanąć muszę,
Bo mi tu wszystko szepce: biada! biada!

(Słychać szczęk oręża).

Ha! szczęki...

(Ludmir wchodzi).

Ludmir? — tu?

SCENA VII.

DAWNI, LUDMIR poźniej SŁAWÓJ.

LUTKA (idąc naprzeciw Ludmira)

Orzeł nie spada
Z tym szumem, jak ty rycerzu skrzydlaty!
Gdzież nasze hufce? Krok stary? Zwycięstwo
Czy srom przynosisz? Z ócz patrzy wieść straty!—
Ludmirze! może dziś niewiasty męstwo
Potrzebne? — może mogiła pogromu
Wszystkich już mężów pochłonęła? — powiedz: —
A wiekuisty zgaszę Znicz, i w domu
Bogów, gdzie świeży wciąż palę jałowiec
Noc uczyniwszy, sto ofiarnych włóczeń
Wezmę, kapłanek swych sto drobnych dłoni
Uzbroję niemi i do twych poruczeń
Stawię się, a ty ujrzysz, jak to broni
Swych bogów — domu jak broni niewiasta!

LUDMIR.

Uspokój się o pani! (gorzko)
Trupy żyją
Dotychczas! — Książe w polu; ja do miasta
Powracam, słuchać czy tu serca biją...
Z rozkazu pana muszę bezpieczeństwo
Dać tym komnatom.

SŁAWINA.

Czy wróg już zagraża
Zamkowi?

LUDMIR.

Wróg? nie! — O! o! lecz przekleństwo
Grozi mu!...

SŁAWINA.

Jakto? książe się odważa
Na sprawę w polu, sam?

LUDMIR.

Pani! niestety!
A to dziś właśnie, gdy nam niesie trwogę
Wróg, co nie tyle ostremi sztylety,
Nie przez krwi rozlew, ani przez pożogę,
Ale zabija duchem! Wróg straszliwy
Bogów ojczystych, zwyczaju i słowa!
Więc któż odeprze cios ten? Czy leniwy
Duch nasz? czy może moc Swantewitowa
Widomie wesprze nas w takiej potrzebie?
Zaprawdę, godnym ten nie jest opieki
Bogów, kto nie dba o nich i o siebie!
Przeklęty — przepaść on musi na wieki!

LUTKA.

Mówisz rycerzu, a twarz mą to bladość
To znów rumieniec oblewa — tak różny
Jest skutek słów twych; bo choć to nie radość
Że lud ten taki jest dziś ducha próżny,
Taki przewrotny, mdły i zniewiaściały —
Lecz twej boleści jęk spiżowy, męski,
I twych rozpacznych słów święte zapały
Wnet koją trwożne serce! Nie, nie! klęski
Doznać nie może lud, co takie wodze
Jak ty, hetmanie młody, ma nad sobą!
Więc spiesz ty! spiesz tam — w pole! Na załodze
Tutaj zostanę ja! Swoją osobą
Odpowiem księciu za to. Widzą bogi
Dotrwam mu tutaj!

(Wchodzi Sławój).

SŁAWÓJ.

Cześć i pozdrowienie
Książęce, w jasne te przynoszę progi!

LUDMIR.

Sławój! Już z boju?

LUTKA.

Żyw, czy też zjawienie
Duchowe tylko?

SŁAWÓJ.

Ludmirze! zarazem
Niosęć książęcą wolę: bez odwłoki
Byś wszystkich zbrojnych bojowem żelazem
Wyprawił z zamku, a na szczyt wysoki
Środkowej baszty zatknąć kazał białą
Płachtę pokoju!

LUDMIR.

Białą?

SŁAWINA.

Dzięki! dzięki
Bogom, za wieść tę!

LUTKA.

Pokój? lecz czy z chwałą
Oręża Rugii? (Ludmir drżący upuszcza miecz)
Cóż to? — ha! — ty z ręki
Miecz upuściłeś rycerzu?

LUDMIR.

Wszak pokój
Tam już zawarli; za cenę — wysoką!
O pani jasna! z wieści tej nie rokuj
Pociechy sercu swemu. Ludy wloką
Długo swój rydwan, nim w losach ustrzęgnie.
Henryk dziś tylko Retrę nam zagarnie,
A po Arkonę może jutro sięgnie
Dopiero! (Odchodzi. Za nim Sławój).

LUTKA.

Taki wasz mir? O! męczarnie!
Lud bratni wrogom na zemstę wydany!
Zgasiłeś gwiazdę, Kroku. — Ziemio Słowa!
Będzisz ty znowu jak dąb rozpłatany
Strzałą Peruna, którego połowa
Jedna uschnąwszy, bo wykorzeniona,
Śmiercią zaraża drugą! (Słychać dźwięk rogów).
Księżno, co to?
Nie Kroka rogów dźwięk ten. Czy Arkona
Zmieniła echa już?

SŁAWINA (patrząc w okno).

Ach! cała w złoto
Odziana, postać rycerska, na czele
Jedzie świetnego orszaku, u boku
Mając Arkony pana. Czy wesele?...
O! cudniejszego nie miałam widoku
W całem swem życiu nad ten, co tu właśnie
Wzrok mój olśniewa! Siostro, patrz: na moście
Te zbroje, w obec których słońce gaśnie!
Te pyszne pióra — rzędy! — Czy to goście?
Ależ tak, goście — radośna godzina!
Z dalekich krajów to jakaś drużyna!
Od dawna dobry mój mąż mi przyrzeka
Sprowadzić gości z daleka — z daleka —
Bom sama tutaj... Goście! — Siostro droga,
Ja nie widziałam ich nigdy, więc rada
Jestem tym ludziom, jak gdyby od boga
Tu przychodzili prosto. — Jakżeś blada
Okropnie księżno! i okiem niechętnem
Spoglądasz na mnie? Nie radaś przybyciu
Tych ludzi?

LUTKA.

Ciesz ty się, dziecko! Ja w smętnem
Zamknę się teraz — samotna — ukryciu,
By nie być świadkiem waszych biednych godów,
Wśród których wrogom podawać będziecie
Puhar, nalany swobodą narodów,
Bratnich po słowie. O, skończ się już świecie
Bo człowiek zdradza własną krew. Ha! krwawić
Musi się lud mój... A ty! — ty! — którego
Serce me wielbi — wstań! by lud ten zbawić! —
Cieszcie się tutaj — niech was bogi strzegą! —
Mnie o ważniejszych rzeczach myśleć! (Odchodzi).

SCENA VIII.

POZOSTALI, po chwili: KROK, HENRYK, LUDMIR, SŁAWÓJ, PLUCHA, MAKART, DRAJDEN i ORSZAK KROKA i HENRYKA.

SŁAWINA.

Smutkiem
Dziwnym przejęły mnie szorstkie wyrazy
Tej dumnej pani; lecz trudna z odludkiem
Sprawa. O! wszyscy tutaj są jak głazy.
W swym własnym ogniu serce biedne spłonie
W tym zamku, co ma pozór uroczyska.
(Odłos rogów).
Lecz teraz może inny duch tu wionie...
(Wchodzą wyżej wymienione osoby).

KROK.

Bądźcież mi radzi wśród tego zamczyska.
Niskie to, prawda, lecz suche i zdrowe,

A wieczorami ściany modrzewiowe
Miłą mieszkańca opajają wonią.

(Biorąc za rękę Sławinę).

Lecz otóż liczka skromne już się płonią,
Co są tych komnat słoneczkiem różanem!
Już, już się płonią, na widok przezacnych
Rycerzy tylu. Lubo księżna stanem,
To do kmiecianek, w pożyciu niełacnych,
Podobna Kroka ptaszynka! — Sławino,
Witajże księcia Retry wraz z drużyną
W progach Arkony!

HENRYK.

Mnie pozwólcie panie
Mówić za sobą; — ja uszanowanie
I cześć niech złożę pięknej Rugii księżnej!

SŁAWINA.

W arkońskim zamku witam was rycerzu!
I was — i wszystkich.

KROK.

A teraz orężnej
Swej sprawy, książę, dobijmy w przymierzu,
Co nas tu wszystkich tak wdzięcznie gromadzi.
Więc naprzód z serca proszę: bądźcie radzi
Domowi memu, abyśmy za stołem
Z przymierza tego cieszyli się społem,
Jako sąsiedzi dobrzy. Nim dziedziną
Ojców władniecie, miłe nam tu spłyną
Wczasy, na ucztach i rycerskiej bawie;
Tymczasem pilne wnet gońce wyprawię
Do ludów Retry, by swego Supana
Na powitanie tu nowego pana
Rychło przysłali. — Sławoju! przystojnie
Ugość rycerstwa oba: wdzięcznie, hojnie,
Przy strojnych lutniach i książęcem winie —
Niech pamiętają długo, że w gościnie
Byli u Kroka. — Na wasze usługi
Książę, dom cały mój: komnaty, cugi,
Zbroje, i rzędy i puhary złote.
Ty w gościach roznieć Sławinko ochotę
Z druhny swojemi, ja za stary na to!

SŁAWINA.

Po za tą niską, niewieścią komnatą,
Łatwiej nam przyjdzie spełnić to zadanie.
Pozwól więc książę —

HENRYK.

Na takie wezwanie
Któżby nie poszedł, choćby na kraj świata?
Słudzy my wasi, księżno.

(Odchodzą wszyscy prócz Ludmira).

SCENA IX.

LUDMIR (sam)

Tak się brata
Arkony książę z wrogiem swoich bogów
I swego ludu! — Ha! i ona! — ona! —
Ten skromny kwiatek z słowiańskich rozłogów,
Który ja tulę do czystego łona,
I ona! w wdzięcznym podaje uśmiechu
Ochotę gościom takim! — Krew znów wichrzy!
Cóż to? — zazdrośny jestem? W własnym grzechu
Mam ja zazdrości przedmiot! — Och, najlichszy
Z ludzi, ja! — bo się o me serce sparły:
Kobieta dla mnie zmarła — i lud zmarły!

(Zasłona spada).

ROCZNICE HISTORYCZNE.

Wtargnięcie Augusta II. do Inflant,

w lipcu 1700.

Jedną z najwalniejszych przyczyn rozkładu politycznego organizmu Polski było niewątpliwie odjęcie jej wolnego oddechu do morza, wydarcie brzegów i portów Bałtyku, stanowiących jedyną drogę komunikacyjną między wschodnią a północną Europą, ostoję dla handlu i przemysłu, których brak a przynajmniej niedostateczność, nie dozwalając wytworzyć się rodzinnemu stanowi średniemu mieszczańskiemu, tak dotkliwie dały nam się później we znaki.

Mimo całej doniosłości sprawy, nietylko że historycy nasi nie skreślili wyczerpującego obrazu długoletniej walki, toczonej o owo „dominium maris Baltici“, lecz dotąd pole to prawie zupełnie zostawiali odłogiem tak, iż pierwszą niemal pracą w tym przedmiocie jest cenna i ze wszech miar na uwagę zasługująca, świeżo wydana rozprawa dr. Stanisława Karwowskiego „o wcieleniu Inflant do Litwy i Polski, 1558— 1561 roku.“ Jakkolwiek od przyszłości dopiero spodziewać się możemy całokształtu dziejów nad-

bałtyckiego kraiku i jego stosunku do Polski, już przecież z niewielkiego szkicu, jaki zawdzięczamy p. Karwowskiemu, możemy powziąć wyobrażenie o niesłychanej tegoż kraju wadze, i o usilnych zabiegach postronnych mocarstw, dążących do zapewnienia sobie przewagi nad Bałtykiem.

Głęboka, acz zanadto abstynencyjna i zbytecznie szlachetnemi pobudkami kierująca się polityka Zygmunta Augusta, zjednała Polsce drogą dobrowolnej ugody nadbałtycką krainę, która poźniej stała się kością niezgody między ojczyzną naszą a chciwymi jej sąsiadami. Kwestya bałtycka gra odtąd niepoślednią rolę w wojnach i polityce pierwszych mocarstw europejskich; cóż kiedy walkę przeciw zaborczej Szwecyi prowadzi Zygmunt III. niedołężnie, kiedy Władysławowi IV. przedwczesna śmierć nie dozwala urzeczywistnić wielkich planów, a mianowicie zabezpieczyć kraju wystawieniem w zatoce Puckiej floty i wzmocnić ją wybudowaniem silnych twierdz, kiedy wreście skołatana tysiącznemi klęskami rzeczpospolita za Jana Kazimierza, na mocy traktatu w Oliwie (1660) zrzekając się Inflant, sama się przyczynia do swej poźniejszej zagłady!

Następcy Jana Kazimierza mieli obowiązek, zastrzeżony w pactach conventach, odzyskania utraconych dzierżaw. Poczuł się do tego pierwszy August II., nie z przywiązania do Polski, jedno wiedziony żądzą sławy wojennej, i łudząc się nadzieją, że w związku z Piotrem W. pobiwszy na głowę Szwecyą i rozebrawszy ją, utoruje sobie drogę do absolutystycznych rządów, do zamiany tronu elekcyjnego na dziedziczne królestwo, w którem rządzić będzie równie samowładnie jak w Saksonii.

Lecz monarcha ten, nie mający sobie równego w podbijaniu serc niewieścich, lubujący się w łatwych miłostkach i rozpuście, nie dorósł do wysokości takiego zadania — tem bardziej, że miał się spotkać z ośmnastoletnim wprawdzie, lekceważonym i za idyotę uważanym przeciwnikiem, którego geniusz wojenny miał jednak niebawem blaskiem swej potęgi przyćmić sławę wielu rozgłośnych bohaterów i w tryumfalnym pochodzie pędzić przed sobą nieprzyjacielskie armie.

Nie przywidujący wypadków August II. zapowiadał sobie łatwe nad młodocianym Karolem XII. zwycięstwo. Rozczarowanie miało nastąpić wkrótce, zaczepiony lew północy miał się strasznie pomścić nietylko nad lekomyślnym Sasem, lecz i nad całą rzecząpospolitą, która mu do rozpoczęcia wojny nie dała upoważnienia, a poźniej domagała się nawet zawarcia pokoju ze Szwecyą.

Już w r. 1699 powziął August stanowczy i niezachwiany zamiar zmierzenia się z północnym sąsiadem. W pierwszych dniach stycznia wygotował plan wyprawy zbiegły i na śmierć przez Karola skazany szlachcic inflancki, Jan Rajnhold Patkul. W ciągu tegoż samego roku porozumiał się August z reprezentantami niezadowolonej z rządów szwedzkich ludności Inflant, zawarł zaczepno odporne przymierze z Danią i Moskwą.

Wśród największej tajemnicy przygotowywano się do rozpoczęcia kroków wojennych. Utrzymawszy wojsko saskie na Litwie wbrew uchwale pacyfikacyjnego pokoju, przeprowadzono je za zgodą wciągniętego do ligi elektora brandeburskiego przez Prusy, w liczbie 8000 ludzi do Kurlandyi. Z końcem grudnia miano ubiedz Rygę — lecz zamiar się nie powiódł mimo współudziału obeznanego ze stosunkami Patkula i przyrzeczenia niezadowolonej partyi Inflantczyków, iż bramy miasta otworzą.

Pierwsze to niepowodzenie wpłynęło jedynie na zmianę dowódzcy; na miejsce hr. Paykula mianował król komendantem Sasów w Kurlandyi generała Fleminga, postanowiając dalej próbować wojennego szczęścia. Nie chcąc się wydać ze swemi widokami, rozgłosił w Warszawie, jakoby Fleminga wysłał dla pogodzenia Litwy, rozdartej domową wojną Sapiehów z Wiśniowieckimi. Nowy komendant w połowie lutego próbował znowu opanować Rygę za pomocą dość licho obmyślonego podstępu. Oto polecił Carlowitzowi, posłowi saskiemu, aby w przejeździe do Nowogrodu korzystając z otrzymanego od komendanta Rygi, podeszłego hr. Dalberga, pozwolenia przewiezienia przez miasto pakunków, zabrał wyładowane bronią i ludźmi a opatrzone strażą sanie. Nie udała się zasadzka; czujni Szwedzi zrewidowali powóz, i udaremnili tak zdradziecki podstęp.

Złamawszy de facto traktat oliwski, wypadało iść konsekwentnie raz obraną drogą, a umywszy na wzór Piłata ręce, winę przyszłego krwi rozlewu zwalić na stronę przeciwną. Uczynił to Fleming w sposób prawdziwie bezwstydny, ogłosiwszy w manifeście, że zaczepiony przez Szwedów, acz niechętnie musi podjąć rzuconą sobie rękawicę i we własnej obronie zmierzyć się z nieprzyjacielem. Uderzył przeto niebawem na małą forteczkę, stanowiącą niejako fort Rygi, nazwiskiem Kober, i opanował ją bez trudności, lecz samej Rygi tak dzielnie bronił ośmdziesięcio-letni Dalberg, że niedość w przyrządy oblężnicze opatrzony Fleming nie kusił się nawet o jej zdobycie. Natomiast zwróciwszy się niespodzianie ku Dyamentowi, położonej nad Dźwiną niewielkiej twierdzy szwedzkiej, po kilku szturmach zmusił ją w dniu 23. marca do poddania się.

Bezpośrednio po tym wypadku August przybywszy z Saksonii do Warszawy, zawezwał do siebie Fleminga i Patkula w celu naradzenia się nad prowadzeniem dalszej wojny.

Przez cały kwiecień gnuśniało w bezczynności opuszczone przez wodza wojsko saskie, podczas gdy Szwedzi krzątali się pilnie, gromadząc rozprószone siły i wzmacniając niedość silne stanowiska. I tak z Finlandyi pospieszył Dalbergowi z pomocą generał Maidel, z Narwi ge-

nerał Weidling. To też gdy w maju powrócili Fleming i Patkul, przyszło im wkrótce ze systemu zaczepnego przejść do odpornego. Pobici pod Jungfernhofem, cofnąć się musieli za Dźwinę. Na domiar złego strwożeni tak niespodzianym zwrotem fortuny malkontenci inflanccy, na których, zawierzając słowom Patkula, tak bardzo liczył August II., nie chcieli słuchać o powstaniu, a sejm w Rydze przesłał Karolowi XII. adres wiernopoddańczy.

Wtenczas dopiero poznał elektor, jak niebacznie, nie mając dostatecznych sił, zaawanturował się na wojnę. Czując dobrze, iż szczupła garstka Sasów nie wydoła rosnącym z każdym dniem szwedzkim zastępom, usiłował nakłonić do wojny Polskę — lecz daremnie, bo wszelkie zabiegi i intrygi, a nawet przekupstwa partyi dworskiej nie odniosły pożądanego skutku; owszem odzywały się głosy niezadowolone z królewskiego postępowania, przeczuwające niejako, jaką burzę na polskim widnokręgu zapali wkrótce genialny wojownik szwedzki.

Przyszedł teraz August do przekonania, że jedynie szybkiem i energicznem działaniem może powetować poniesione już, dzięki bezczynności i nieporadności dotychczasowej, straty. Wysławszy więc 11 nowych pułków saskich z feldmarszałkiem Steinau na czele, sam w połowie lipca pospieszył do rozłożonego nad Dźwiną obozu, aby obecnością swoją podnieść odwagę armii i poprowadzić ją do nowych zwycięstw. Szczęście zdawało mu się z początku sprzyjać; w kilka dni po przybyciu do obozu, przerznął się przez rzekę mimo wytrwałej obrony generała Weidlinga. Ale usiłowania zdobycia Rygi rozbiły się znów o twardy opór załogi; gdy zaś Karol XII., rozgromiwszy Danią zawarł z nią pokój, August od oblężenia odstąpił przekonany, że teraz Szwedzi całą siłą na niego uderzą.

Obawa okazała się wprawdzie płonną chwilowo, gdyż wprzód rozprawił się Karol z carem Piotrem, niebawem jednak miał i na lekkoduchego Sasa z chmurnego nieba Szwecyi spaść piorun pomsty, który i jego elekcyjny tron miał zgruchotać, a rzeczpospolitą na długi czas zawichrzyć i zająć płomieniem pożaru.

L.

JULIAN BARTOSZEWICZ.

Julian Bartoszewicz należał do tych skrzętnych pracowników, którzy nie zyskują rozgłosu, nie dobijają się świetnej sławy, a zasługi miewają nieraz większe niż ludzie głośnego imienia.

Życie, jak je Bartoszewicz prowadził, i praca, w jakiej życie to strawił, wydaje się być ciągłem przygotowaniem do jakiegoś wielkiego, rozległego dzieła. Gdy Opatrzność przerwała pasmo tego życia, zdawało się, że nie dała mu dokonać owego wielkiego zamiaru, do którego dokonania czynił przygotowania i gromadził materyały.

Tymczasem już to samo, że Opatrzność położyła koniec pracowitemu żywotowi powinno było być wskazówką, że zadanie tego żywota zostało spełnione.

Oczekiwaliśmy po Bartoszewiczu, że napisze dzieje narodu polskiego, i w tem oczekiwaniu ceniliśmy niekiedy za nisko prace, które zdawały nam się, jakoby powstawały z okruchów odpadających przy opracowaniu wielkiego dzieła.

Krytyczny pogląd na pierwotne dzieje Polski w dziele: „O pomysłach historycznych Augusta Bielowskiego“, rozprawa pod napisem: „Nowa epoka historycznej literatury polskiej“, zapowiadały krytycznego i umiejętnego badacza dziejów.

Niepokaźna na pozór praca, stanowiąca tekst objaśniający do wizerunków królów polskich Lessera i do albumu prymasów polskich A. Pecqu'a, wskazywały, że Bartoszewicz obejmował w studyach swoich całość dziejów Polski, przyczem nie brakło mu na trafnych, politycznych poglądach.

W tym widoku, że Bartoszewicz pomnoży zastęp pisarzów, którzy przedstawili nam dzieje Polski w całkowitym obrazie, musiała nas utwierdzać praca jego nad materyałami, której zawdzięczamy wydanie trzeciego tomu dzieła: Codex diplomaticus regni Poloniae, którego dwa pierwsze tomy wydali Leon Rzyszczewski i Antoni Muczkowski.

Tymczasem nader szczegółowa, chociaż sumienna i krytyczna praca nad dziejami rodzin a mężów pojedynczych, nie dozwoliła Bartoszewiczowi opracować w krótkim czasie dziejów całego narodu. Pozostawił on jako owoc mozolnej i długoletnej pracy wypracowany i przygotowany zupełnie do druku początek dziejów Polski, aż do Władysława Łokietka. Jestto niezawodnie korona jego prac, a wszystkie inne, jakkolwiek wykończone i całkowite w sobie, są jednakże tylko przygodne, wynikające z tego jednego studyum, którem całe swoje życie wypełnił.

Większa część dzieł znaczniejszej objętości wydanych przez Bartoszewicza nosi na sobie cechę monograficzną i wpada w zakres albo życiorysów, albo dziejów pewnych znaczniejszych rodzin. Są to prace wielce zajmujące, wy-

konane z zamiłowaniem i prawie drobiazgową dokładnością.

„Królewicze biskupi“, „Królowie polscy“, „Arcybiskupi gnieźnieńscy“ i „Hetmani“, pokrewnego między sobą rodzaju stanowią dział prac Bartoszewicza, w których tenże traktuje biografią ze stanowiska publicznego i politycznego. Do tego rodzaju pism należą także: „Panowie niemieccy na dworze Stanisława Augusta.“

Drugi dział stanowią prace ściśle biograficzne i dzieje rodzin, w których życie domowe, charaktery, prywatne stosunki genealogiczne są główną osnową. Tu należą: „Znakomici mężowie polscy“ i „Historyczne pamiątki znakomitych rodzin i osób dawnej Polski.“

Już ten dział prac Bartoszewicza zawiera w sobie wiele danych, wpadających w zakres archeologii. Ale Kościoły warszawskie rzymsko-katolickie, a nadewszystko Codex diplomaticus stanowią same dla siebie odrębny dział ściśle archeologiczny. Prace te zjednały mu nominacyą na członka komisyi archeologicznej wileńskiej.

Obok tych prac drobiazgowych i żmudnych, znalazł przecież Bartoszewicz dosyć czasu do zajmowania się literaturą piękną, jakoteż literaturą wogóle, nawet próbowania się w pracach pięknej literatury. Nie jest nam znany żaden oryginalny utwor Bartoszewicza w tym rodzaju, ale tłumaczenia dramatów: Franciszka z Rimini Silvia Pelicca, i Oehlenschlägera: Hagbart i Sygna wierszem miarowym są wcale udatne.

Wreszcie najznakomitszym owocem tej pracy około literatury jest bardzo pożyteczne kompendyum „Historya literatury polskiej“, w której Bartoszewicz uniknął wady innych wydawców kompendyów, t. j. powtarzania zdań o autorach i dziełach za innemi na wiarę, i objawiania zdań swoich o tychże nie znając ich bynajmniej.

Pomnik J. Bartoszewicza.

Sąd Bartoszewicza może się nieraz wydać dziwacznym i mylnym, ale to właśnie, że odbija od zdania innych, dowodzi jego sumienności w pracy. Objawiał on swoje zdanie z przekonania, a nie z posłuchu i na wiatr. Zarzucają mu, nawet przyjaciele jego, że się unosił często stronniczą namiętnością. Wydał on rzeczywiście o niektórych pisarzach krzywdzące, niesprawiedliwe wyroki, co też dało powód do obrony pokrzywdzonych, do polemiki i przykrych niesnasek literackich.

Nie masz na świecie literatury, któraby nie wykazywała podobnych przykładów. My jednak, w naszem wyjątkowem położeniu jesteśmy bardziej drażliwi, niż narody żyjące w spokojnem poczuciu swojej niepodległości, w pewności niewzruszonego bytu. Jak człowiek tak i naród w nieszczęściu upatruje w różnych przygodach, w różnych brakach i błędach, na któreby może, w szczęśliwem będąc położeniu, nie zwracał uwagi, przyczynę swoich nieszczęść i ztąd ta drażliwość nasza na wszelką naganę z jednej, a skwapliwość w ganieniu z drugiej strony.

Waśń i kłótliwość, które były znamieniem i skutkiem psowania się stosunków społecznych u nas, poczytali nam inni, a za nimi i my sami za przyczynę tego zepsucia. Przyzwyczailiśmy się więc po doznanych nieszczęściach być nader tkliwymi na wszelkie waśnie powstające wśród nas, i popadliśmy w ten błąd, że dla usunięcia kłótliwości

wszczynamy kłótnie i trwamy w nich. Popadł w ten błąd Bartoszewicz, popadali i jego przeciwnicy. Nie piszemy tego, aby go uniewinniać, ale aby podnieść, że co Bartoszewiczowi jako jego właściwą wadę zarzucano jest wadą narodową, wynikającą z naszych stosunków nieszczęśliwych, a zarazem jest także wadą ludzi jego zawodu bardzo powszechną, bo łacińskie przysłowie o poetach, iż są „irritabile genus“ stosuje się do wszystkich piszących. U Bartoszewicza wpływała nadto choroba na podniesienie tej drażliwości do wyższego stopnia, choroba, która się przez długie lata zwykła rozwijać, i która położyła zbyt wcześnie kres jego życiu.

Dawszy krótki pogląd na literackie stanowisko Bartoszewicza winniśmy czytelnikom naszym podać niektóre szczegóły z tego pracowitego żywota. Urodził on się d. 17. stycznia 1821 w Białej radziwiłłowskiej, a był synem mniej rozgłośnego, choć niemniej pracowitego profesora Adama Bartoszewicza. Wtedy gdy się Julian narodził był ojciec jego już zasłużonym pracownikiem na polu nauk filologicznych i moralnych. Zbieranie przypowieści i przysłów, które w różnych pismach drukiem ogłaszał było jego najulubieńszem zajęciem. Ale i większe prace po nim pozostały: mianowicie drukował on w programie szkoły bialskiej, właśnie w roku, kiedy się Julian narodził „Rzecz o matematyce“ i przygotował był do druku nowe wydanie „Słownika Knapskiego.“

Po takimto ojcu odziedziczył Julian zamiłowanie do nauk. Początkowego wykształcenia nabył Julian pod kierownictwem ojca najpierwej w szkole bialskiej, następnie w Łukowie, a poźniej w Warszawie, dokąd ojciec jego zostawszy w r. 1833 inspektorem szkół przeniósł się z 12letnim Julianem. W Warszawie ukończywszy w r. 1838 gimnazyum udał się Julian do Petersburga na uniwersytet, gdzie jako uczeń wydziału filologiczno-historycznego położył podwaliny do swojego przyszłego zawodu.

Już w Petersburgu będąc począł on jako dwudziestoletni młodzieniec krzątać się około literatury. Należał wspólnie z Janem Barszczewskim, jakkolwiek o 30 lat od niego starszym (autorem znanego w naszej literaturze dzieła pod n. Szlachcic Zawalnia) do założycieli pisma zbiorowego pod n. Niezabudki.

Ukończywszy uniwersytet w Petersburgu zdał egzamina profesorskie i jako nauczyciel w szkołach warszawskich, a oraz jako właściciel prywatnego zakładu wychowawczego strawił życie na wychowaniu i nauczaniu młodzieży, którą lubił około siebie garnąć. Obok tego mozolnego zajęcia znalazł Julian dosyć czasu i siły do pracy, którą nazwać musimy olbrzymią, gdy rozważymy jaką niezmierną masę materyałów, familijnych papierów, dokumentów, aktów, korespondencyi, pamiętników musiał krytycznie przewertować, jaką niezliczoną ilość wydarzeń spamiętać lub dla pamięci je zepewnić, uszykować i w całość powiązać, aby kiedyś utkać z tego dzieje narodu jako jednolite dzieło.

Ślęczenie to nad materyałami historycznemi i literackiemi nastręczyło płodnemu jego umysłowi sposobności do zaopatrywania wszystkich pism czasowych polskich, zwłaszcza wydawanych w Warszawie w ogromną ilość drobnych i większych artykułów treści to historycznej, to biograficznej, to archeologicznej, to nareszcie krytyczno-literackiej.

Taka czynność literacka i uczona a zarazem koniecznie ztąd wynikające zawiązanie stosunków z ogniskami naukowemi musiało zwrócić na Bartoszewicza uwagę mężów i stowarzyszeń zajmujących się naukami, zwłaszcza tą gałęzią, którą się on zajmował.

Jakoż po dziesięcioletniej niespełna działalności widzimy już Bartoszewicza członkiem Towarzystwa geograficznego w Petersburgu (r. 1853). W r. 1857 mianowano go członkiem komisyi archeologicznej wileńskiej. Była to pora kiedy rząd moskiewski uznał za rzecz potrzebną dla swojej polityki nęcić do siebie Polaków. Bardzo wielu polskich uczonych zamianowano wtedy członkami komisyi archeologicznej.

Bartoszewicz miał oprócz tego inną sposobność wziąć czynny udział w ruchu literackim, któremu rząd moskiewski dozwolił był od wojny krymskiej nieco swobodniejszego rozwoju.

Pomijamy już tę okoliczność, że zamianowanie go testamentem Konstantego Świdzińskiego jednym z dwóch naukowych opiekunów tak zw. Muzeum imienia Świdzińskich, którego wejście w życie zostało udaremnione przez głośny i wielce niezaszczytny dla Wielopolskiego proces, byłoby nadało Julianowi Bartoszewiczowi stanowisko odpowiednie jego powołaniu i byłoby mu dozwoliło oddać się swobodnie i wyłącznie pracy badań dziejowych.

Los chciał inaczej. Dzięki zabiegom Wielopolskiego założenie muzeum imienia Świdzińskich spełzło na niczem, a Julianowi Bartoszewiczowi pozostała tylko sława, że K. Świdziński chciał go mieć jednym z kuratorów swojej fundacyi.

Gdy go minęło tak zgodne z jego powołaniem stanowisko, poruczono mu niemniej ważne, a daleko więcej trudów i przykrości za sobą pociągające zadanie. Korzystając z chwilowo przychylniejszego dla polskiej literatury usposobienia w rządzie moskiewskim, założyło w r. 1854 grono kilku zamożnych a światłych mężów Dziennik warszawski, którego kierunek poruczono zrazu Henrykowi Rzewuskiemu.

Bartoszewicz został wezwany do udziału w redakcyi. Zdaje się, że wstępując do redakcyi pisma, na którego czele stał Henryk Rzewuski, nie zdawał sobie Bartoszewicz dokładnie sprawy z tego, jaką dążność będzie musiał za-

chować Dziennik Warszawski, a raczej nie zdawał sobie sprawy ze sprzeczności, jaka w przekonaniach politycznych i społecznych zachodziła między nim a Rzewuskim i założycielami pisma. Być może jednak, czego wszakże nie przypisujemy charakterowi Bartoszewicza, że licząc na niepopularność H. Rzewuskiego, którą zazdrośni współzawodnicy jeszcze do wysokiego stopnia podnieść i wielce wyzyskać umieli, miał J. Bartoszewicz pewność, że wkrótce będzie Rzewuski musiał ustąpić a jemu się uda objąć naczelne kierownictwo dziennika i nadać mu kierunek zgodniejszy z jego przekonaniami.

Jeżeli Bartoszewicz nie miał na myśli takiego planu postępowania, to jednak zbieg okoliczności zdziałał, że się pierwsza część takowego ziściła. Rzewuski usunął się wkrótce od kierunku „Dziennika“, Bartoszewiczowi powierzono naczelną redakcyę, który uznał za rzecz stosowną dla niepopularności dotychczasowej firmy zmienić nawet tytuł pisma. Jakoż zaraz po objęciu redakcyi tego pisma wezwał J. Bartoszewicz ludzi, których znał z ich wolnomyślnych dążności; między innymi zapewnił sobie we Lwowie do korespondencyi współpracownictwo Karola Widmanna; w feletonie drukował Jan Zacharjasiewicz swoją powieść pod tyt. Renata. O korespondencyach K. Widmanna wspominamy dlatego, bo wpływ ich cechuje położenie redaktora „Kroniki“ i sposób jego myślenia. Korespondent zdał sprawę o skutkach zniesienia pańszczyzny w kraju i wystawił je w pomyślnem świetle. Poruszenie tej kwestyi w „Kronice“, o której załatwieniu wówczas i rząd moskiewski myśleć zaczął, zrobiło tak wielkie wrażenie w publiczności, że, jak Bartoszewicz sam się wyraził w liście z tego powodu do korespondenta pisanym: „wydzierano sobie z rąk ten numer Kroniki“.

Bartoszewicz będąc w duszy przekonań postępowych i demokratycznych, wielce się uradował zmianą stanowiska, jaką owa korespondencya w dzienniku jego zdziałała. „Kronika“ uważana dotąd za organ wsteczny, arystokratyczny, stała się nagle przez tę jedną korespondencyę postępową i demokratyczną. Ale zapomniał Bartoszewicz o tem, że założyciele tego pisma byli ludźmi zupełnie innego ducha. Założyciele „Kroniki“ zmusili redaktora do umieszczenia odpowiedzi na korespondencyę Widmanna. Odpowiedź była napisana w duchu wstecznym i z wszelką arogancyą zpanoszałego szlachcica. Rozpoczęła się z tego powodu żywa polemika. Zwolennicy pańszczyzny w Galicyi poruszyli także swoje niezgrabne pióra. W Warszawie stanął w obronie zniesienia pańszczyzny Seweryn Uruski i wydał ową nieszczęsną korespondencyę, która tyle wrzawy narobiła, w osobnym przedruku wraz z odpowiedziami wstecznikow i amatorów pańszczyzny, dodając swoje uwagi a oraz ustępy z najpierwszych ekonomistów, służące na poparcie zasad wypowiedzianych przez Widmanna. Nic to nie pomogło. J. Bartoszewicz napisał korespondentowi, żeby tej kwestyi nie tykał. „Kronikę“ wzięli założyciele pod ściślejszą kontrolę, przywrócili jej kierunek wsteczny, w końcu ujrzał się J. Bartoszewicz zniewolonym porzucić jej redakcyę.

Rozstawszy się tak z pismem, którego wbrew swoim przekonaniom prowadzić nie chciał, mógł tem więcej gorliwości poświęcić pracy we właściwej sobie dziedzinie.

Jakby na zawołanie zaczęły się wówczas w Warszawie przedsiębiorstwa literackie, które otworzyły J. Bartoszewiczowi obszerne pole do umieszczania owoców swoich rozległych i drobiazgowych studyów.

Tygodnik ilustrowany nastręczył mu sposobność do zamieszczania biografii historycznych i literackich, wiadomości archeologicznych i innych w zakres dziejoznawstwa wchodzących.

Encyklopedya powszechna jest w dziale swoim biograficznym, historycznym i archeologicznym przeważnie zapełniona artykułami pióra J. Bartoszewicza (gdzie znaczył się podpisem Jul. B.)

Oprócz tego nie było prawie pisma polskiego do któregoby J. Bartoszewicz nie pisał, a zwłaszcza drukował on w Bibliotece warszawskiej wiele bardzo cennych rozpraw.

Jego drobne prace zebrane razem (rzecz tak bardzo praktykowana u innych narodów, a tak mało u nas) zapełniłyby niezawodnie kilkanaście tomów.

Zajęcie to wymagające wielkiego rozprószenia sił i czasu, nie przeszkadzało wszakże J. Bartoszewiczowi dokonywać większych jednolitych.

W tym to czasie wydał on swoją Historyę literatury, o którejśmy już wspominali i pracował nad Historyą Polski, którą, jakeśmy także już nadmienili, doprowadził do Władysława Łokietka. Byłoby to dzieło niewątpliwie obszerne, gdyż okres już opracowany obejmuje cztery tomy. Nadto spodziewać się należy, iż praca ta, jeżeli się doczeka kiedy wydania, zbogaci naszą literaturę historyczną pod względem zasobu materyałów i krytycznego spożytkowania. Miał bowiem J. Bartoszewicz przystęp do takich zasobów źródeł i materyałów historycznych, jakie niełatwo komu innemu otworem stawały i umiał z nich korzystać.

Pracowity ten żywot doprowadził niezawodnie szybcej do rozwiązania choroby, która się stała przyczyną jego śmierci. Umarł Julian Bartoszewicz w Warszawie d. 5. listopada 1870.

Jak umiano ocenić stratę poniesioną przez śmierć jego, świadczy najlepiej pomnik wystawiony mu ze składek w kościele Nawiedzenia N. P. w Warszawie, którego rycinę do niniejszego wspomnienia dołączamy.

FIOŁKI.

NOWELLA

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW SZANSER (Ordon.)

I.

W poniedziałek po kwietniowej niedzieli, rano, willa Reni była w wielkim rozruchu. Aż po nad Arno do rybackiej chaty starego Pescara dolatywały gromkie rozkazy Pietra, ogrodnika i burgrabiego willi, przerywane westchnieniami do wszystkich świętych żony jego, Bettiny. Giacomo i Beppo, dwaj nieszczęsni synowie swojego ojca, z wysiłkiem ustawiali olbrzymie oleandry i rododendrony na białej, marmurowej posadzce portyku, a kryształowa rosa z puszczonej na podwórzu fontanny spadała rzęsistym deszczem na głowy ciekawego zgromadzenia sąsiadów za wjazdową kratą.

Słońce już podniosło się wysoko i gorącym oddechem powiało na ziemię; z białej, równej drogi do Florencyi pył wstawał; zasłaniał, jak obłok, wdzięczne miasto i spadał na głowy ciekawych — a jednakże nikt z nich nie ruszył się do domu.

Przy wjeździe do willi i na całej drodze do wsi, co wiodła przez gaj drzew kwitnących, rój ludzi szemrał.

I Catalina wymowna, wioząca na swoim osiołku jarzyny do miasta, i czarnooka Paola z koszem pomarańcz na głowie i corricolo Giuseppa zaprzężone w fantastycznie chude rumaki, z Ojcem Hieronimem i dwiema mamkami na jego kolanach — ba nawet głuchy dzwonnik Maruno byli w tym tłumie.

Gwar co chwila się zwiększał: zapytania i odpowiedzi, żarty i wykrzykniki, śmiechy i wołania krzyżowały się ze sobą.

Co było przyczyną tej ciekawości?

Zapewne nie wdzięczna willa, wyglądająca zalotnie z pomarańczowego gaju, ani stary Pietro i Bettina, ani nieszczęśliwe chłopcy dźwigające wazony i kwiaty — ani bijąca fontanna: wszystko to były stare znajomości.

Cóż więc zgromadziło i zatrzymywało tych ludzi?.. konie Giuseppa i osiołka Cataliny, uszy Maruna i drobne nóżki Paoli?

Czekano na Milorda.

Milord miał być bogaty jak monstrancya w Tumie; zapłacił dwa tysiące dukatów za wynajęcie willi: od dwóch tygodni wozili w złoto ubrani lokaje obrazy i cacka; milord miał podobno oswojonego tygrysa ze sobą — który mu pantofle przynosił — dwóch murzynów, czarnych jak Sąd Ostateczny; pierścienie bogatsze od papieża — papugę odmawiającą „Ave“ lepiej od Ojca Hieronima; szkatułę ciężką, jak grzech śmiertelny i miał przyjechać na wielbłądzie.

Dziewczęta słyszały, że był piękny i młody.

Nie dosyć że więc było powodów do rzucenia wszystkiego i czekania na milorda?

Napróżno stary dzwonnik przebąkiwał, że zamorscy ludzie jettaturę rzucać umieją — a ksiądz Hieronim zżymał się, o heretykach prawiąc: mamki nie chciały ruszać się z jego kolan — Giuseppo na koźle — a konie z miejsca: zostać więc było potrzeba i poddać się losowi.

Z każdą chwilą niecierpliwość rosła. Popychano się i wspinano na palce: sto oczu sokolich przebijało tuman zasłaniający Florencyę — napróżno, nic dojrzeć nie było można. Nareszcie mały Cola zdobył się na dowcip i w kilku małpich skokach wdarł się na przydrożną topolę. Z tego wysokiego stanowiska mógł dojrzeć mrówkę, któraby się na piechotę z Florencyi wybrała.

Wszystkich oczy zwróciły się na niego.

— Jedzie! zawołał nagle, rozkrzyżowując ręce.

— Jedzie! powtórzyło sto ust...

Istotnie jakieś ciemniejsze punkta zamajaczyły w oddaleniu.

— Nie widzę wielbłąda, zawołał znowu Cola.

— Cóż widzisz?

— Czekajcie!... Kareta zaprzężona w dwa smoki!...

— Smoki!

— Jezu!

— Madonna! i to dwa razem....

— Zmyśla!... wykrzyknął niedowierzający Giuseppo.

— Ja zmyślam, odpowiedział obrażony Cola — otóż wiedz, ucho Malchusowe...—ale nie — patrzajcie sami.

— Gadaj! gadaj — zawołano chórem...

— Bambino! dostaniesz marchew i główkę sałaty — wsunęła Catalina.

— Ojciec Hieronim da ci pocałować medaliki!...

— Mów!... co?

— Prędzej!..

Cola stał się bohaterem chwili... To też postanowił wyzyskać swoją pozycyę. Wspiął się jeszcze o jedną gałęź wyżej i chwilę milczał, najżywszą pantominą tylko wyrażając swoje zadziwienie...

Audytoryum drżało z ciekawości...

Chłopiec rozłożył raz jeszcze ręce, klasnął niemi i wykrzyknął...

— Niesłychane!..

Kobiety złożyły ręce...

— Lokaj maleńki, jak naparstek mojej ciotki, a furman cały.... z mydła!...

— O! O! O!.. wołano z niedowierzaniem...

— Nie wierzycie!.. Przysięgam na cnotę Paoli... z mydła i to z żółtego mydła...

— Canno della Madonna! — oburzyła się czarnooka Paola zaczepiona — przysięgaj na cnotę twojej matki, jeżeli ci kto uwierzy, nie na moją...

W tej chwili rozpoczynająca się kótnia przerwaną została... głuche zapanowało milczenie...

Z tumanu kurzawy, wysunęła się czarna kareta, w pełnym biegu dwóch rasowych koni, prowadzonych przez stangreta w żółtej liberyi... Okna od karety były szczelnie zamknięte... Na drzwiczkach herb z koroną hrabiowską.

Kareta pędem wsunęła się w milczący tłum... Niezmierne osłupienie i zawód malowały się na wszystkich twarzach... Zaszumiało, jak przed burzą...

Kareta skręciła przed złoconą kratę willi, jedno okno się odsłoniło i wyjrzała zeń przez mgnienie oka blada, młodzieńcza twarz i naraz wszystko znikło na skręcie w alei.

Jedne tylko oczy schwyciły wybornie i zatrzymały w pamięci tę twarz. Były to oczy młodej dziewczyny ukrytej w tłumie.

Chaotyczny okrzyk przekleństw, śmiechów — wyrwał się z gromady ciekawych...

A potem oczy, pięści, słowa zwróciły się do topoli zajmowanej przed chwilą przez Cola.

Chłopak znikł już, bez śladu...

Powoli rozpłynął się niezadowolony tłum: ani tygrysa, ani wielbłąda, ani murzynów!.. Zawód był straszliwy.

Wkrótce przed kratą pusto było...

Zastała tylko jedna owa młoda dziewczyna, ukryta dotąd pomiędzy ludźmi i drzewami. Była to smukła brunetka, o błękitnych wielkich oczach. Purpurowe, miłośnie wycięte, w kącikach podniesione nieco miała usta. Czarne włosy, z granatowym prawie odcieniem, zaczesane gładko nad czołem jakby zmoczone. Krótka czerwona spodniczka odsłaniała maleńkie, bose nogi. Szeroka, bez rękawów, przy ramionach sfałdowana koszula nie kryła silnych, cudnie modelowanych rąk i szyi obnażonej. Twarz, szyja i ręce miały koloryt florenckiego bronzu: ciemny, pozłacany po wierzchu, jakgdyby pod delikatną powłoką ciała płynęły krew i słońce, pomieszane razem. Wysunęła się z krzaków dzikich róż i bluszczów pełznących wokoło muru otaczającego willę i szukała szczeliny. Z tej strony, z której patrzyła, przylegał pawilon z gotyckiemi oknami obwiniętemi dzikiem winem... Kilka gałęzi pomarańczowych obsypanych kwiatem zaglądało do okna...

Wspiąwszy się na mur można było dostać do okna... zajrzeć nawet wewnątrz.

Dziewczyna z siłą i zręcznością, zdradzającą przyzwyczajenie do pracowitego i hartownego życia, chwyciła za wierzch muru i głowę ostrożnie wychyliwszy, spojrzała w głąb pokoju...

Zobaczyła tam obraz bardzo zapewne smutny bo posmutniała sama widocznie...

W głębokiem krześle, wybitem pąsowym aksamitem, siedział blady młodzieniec—tajemniczy milord. Złote bujne włosy, biała, alabastrowa prawie cera wyraźnie zdradzały saksońską jego rasę. Kłóciły się z nią tylko wielkie czarne oczy, pełne przyćmionego, wilgotnego żaru.

Wysokie myślące czoło, nos prosty i szlachetnie zarysowany, nadawały mu wyraz wielkiej dystynkcyi i wdzięku. Ale te piękne kształty pokryte były zasłoną głębokiego smutku, czy osłabienia. Leżał prawie w krześle i patrzył przed siebie obojętnie... nieciekawie, martwo, jak gdyby od stu lat już tu mieszkał.

Przed nim stał maleńki groom, prawdziwy Tom Poucet, w postawie pełnej uszanowania...

Po długiej chwili milczenia odezwał się maleńki lokaj zniżonym głosem...

— Pan hrabia pozwoli mi odejść...

— Dobrze — odpowiedział młodzieniec... Pamiętaj tylko o moich fiołkach.

— O szczegóły gospodarskie?..

— Ułożysz się z tutejszemi ludźmi i będziesz mi sam służył, nie chcę wychodzić z pokoju...

— Pan hrabia nikogo nie przyjmuje?

— Nikogo, Wiliam...

Sługa poruszył się — zawahał i rzekł nieśmiało:

— Pani hrabiny, matki pańskiej?..

— Nie powinna mnie tu znaleźć...

— Jeżeli jednak?..

— Dasz mi znać zawczasu, ażebym mógł wyjść drugiemi drzwiami, a potem nie będziesz wiedział, gdzie mnie szukać...

— Rozumiem panie hrabio...

Obadwaj zamilkli. Sługa nie odchodził jednak i znać było, że pragnie jeszcze o coś zapytać, a boi się...

— Cóż jeszcze, Wiliam? — zapytał ze znużeniem młodzieniec...

— A jeśli brat pana hrabiego — zapytał z obawą groom..

— Nigdy! Wiliam! rozumiesz mnie... nigdy! — zawołał gwałtownie hrabia, wychodząc naraz z odrętwienia—wszystkich raczej aniżeli jego!... Nie ma mnie!.. Jestem chory, umierający, wymyśl co ci się podoba, ale nie wpuszczaj go... wypędzę cię natychmiast!..

Podczas gdy to mówił, oczy jego nabrały dzikiego blasku, usta drżały, ręce zaciskały się kurczowo. Znać jednak spostrzegł się, jakiego ma świadka, bo naraz uspokoił się i cicho siadając rzekł:

— Możesz odejść, Wiliam...

Groom wyszedł ostrożnym krokiem i przy drzwiach boleśnie obejrzał się na swojego pana.

Widok huty żelaznej w Tarnowicy na Szląsku.

Skoro drzwi za nim się zamknęły, w całej postaci hrabiego zaszła nowa i gwałtowna odmiana... Zdawało się, jak gdyby wszystkie sprężyny jego ciała naraz rozkręciły się i opadły...

Mój brat! moja matka! — zawołał!.. Nieszczęśliwi zabili mnie; zabili mi serce. Mój Boże taki świat szeroki! Nikt mnie nie kocha!!.

I oczy jego napełniły się łzami. Ostatniem jednakże wysileniem, jak gladiator wstydzący się ludzki ból na konającej twarzy swojej pokazać, zakrył rękami oczy i mocą woli hamował łkanie. Z gwałtownych tylko poruszeń piersi i pereł wilgotnych, sączących się przez zaciśnięte palce, znać było, że płakał...

Ból jednak mocniejszym był od niego...

Czując, że mu uledz musi, podszedł do drzwi i zamknął je, a potem rzuciwszy się na podłogę łkać począł i zanosić się jak dziecko.

Straszna była i rozdzierająca ta żałość na męskiej twarzy, i ten płacz głęboki, bijący prądem z obfitego widać źródła...

Paroksyzm ten zakończył się suchym, urwanym dźwiękiem. Całe ciało młodzieńca wstrzęsło się od tego dźwięku. Pierś zatętniała jak dzwon rozbity. Był to kaszel.

Dziewczyna, tajemny świadek tej całej sceny, odbijała w rysach swoich wszystkie jej przejścia. Wyższa znać inteligencyą nad stan, jak i prosty jej strój wskazywał, pojęła i oceniła tę boleść, chociaż nie zrozumiała jej powodu. Niezmierne współczucie malowało się na jej wyrazistej twarzy, a na suchy dźwięk kaszlu drgnęła cała, i zsuwając się z muru w gęstwę dzikich róż, szepnęła...

— P o v e r o!..

Z uwielbieniem i zachwytem wpatrywała się w piękną twarz hrabiego.

(Ciąg dal. nast.)

Przechadzki po wystawie powszechnej Wiedniu w r. 1873.

przez A. S.

III.

Skorośmy się dostali na sam kraniec parku do domków ludowych, więc już i dalej z tego punktu kierować się będziemy, zwłaszcza, że napotykamy tu wystawy istotnie zajmujące i dla nas pouczające.

Wystawa leśna galicyjska, lubo dosyć obfita, znika jednak obok bogactw leśnych, wystawionych tu przez inne kraje. Nic dziwnego; gdzieindziej rozporządzano wielkiemi w tym celu funduszami publicznemi, u nas polegało wszystko na dobrej woli i poniekąd ofiarności wystawców. Ci zaś interesu wielkiego w udziale w wystawie widzieć nie mogli — zresztą wogóle naszem gospodarstwem lasowem, nawet w dobrach rządowych, nie bardzo możemy się chwalić.

I na Węgrzech rozpoczyna się dopiero rozumne gospodarstwo, i tam przez długie czasy, tak jak u nas, tylko niszczono lasy—ale od czasu usamowolnienia korony węgierskiej jakiż tam ogromny postęp, jaka umiejętna dbałość, żeby bogactwo kraju podnieść i wyzyskać. Wystawa leśna węgiersko-kroacko-słoweńska jest bodaj najwspanialszą w swoim rodzaju, tak co do ilości i jakości okazów, jak również zręcznego ułożenia, które wszelako nie wciska się wcale do szychowej reklamy. Tu przemawia wartość rzeczy nagromadzonych w ogromnej obfitości. Olbrzymie pnie jodeł, sosien, mające do 150 stóp długości, do 15 cali średnicy, przekroje pni o 60 calach średnicy z drzew zupełnie zdrowych, mających po 200 i więcej lat, dęby, buki trzechwiekowe na 80 cali grube, obeliski ułożone z takich okazów, pochodzących z Karpat, z lasów kroackich i słoweńskich witają nas na wstępie. Jest tu jesion 280 lat mający, 96 stóp wysoki, tejże długości, belki z lip, klonów, sosien — są to olbrzymy, przypominające dziewicze lasy.

Obok przedstawia się niezliczone mnóstwo wyrobów z drzewa: bele, tarcice, klepki do beczek, obręcze; cały namiot pustelniczy z kory dębowej, cały pawilon z wyrobów tartakowych, beczki ozdobione rzeźbieniem, a w środku tego wszystkiego stoi cała drewniana cerkiew ruska z wysoką wieżą, gontami kryta. Wnętrze cerkwi kształtu owalnego służy także na wystawę drobnego przemysłu leśnego, a zarazem prac podjętych w celu podniesienia i zbadania wartości produkcyi leśnej. Znajdujemy tu tablice badań i doświadczeń mocy, elastyczności, poprzecznej i podłużnej wytrzymałości drzew wszelkiego gatunku; usiłowania kultury lasowej, a zwłaszcza w celu z a l u d n i e n i a lasem całej piaszczystej puszczy banackiej, dalej wzory wozów, łodzi, izby rzeźbione, oczywiście bez gustu i rysunku, jak je lud ozdabia; wyborne forniry, mnóstwo ubocznych produktów leśnych, narzędzia, ubiory, nawet pożywienie ludności leśnej, sery i chleb owsiany; zbiór nasion i zielników, zwierzęta wypchane, a między niemi bury niedźwiedź i sęp brodacz. Nadzwyczaj ważnem jest okazanie użytku kory dębowej do garbarstwa, czego

u nas nie znają, a przez co otwiera się dla kraju nowe źródło bogactwa, tak jak się to już stało w Węgrzech.

Uzupełniają wreszcie tę wystawę przedstawienia graficzne badań nad wzrostem drzew, bez czego umiejętnego gospodarstwa być nie może. Ale to wszystko dzieje się z ramienia, albo za przykładem rządu!

Naprzeciw jest wystawa leśna niższo-austryacka, która jest również obrazem rozległej ekonomicznej pracy. Przedmioty mniej więcej te same, lecz głównie tu zwrócono uwagę na wyzyskanie materyałów leśnych, handel deskami, węglem drewnianym. Tuż obok jest pawilon leśny z dóbr arcyksięcia Albrechta w Cieszyńskiem i w Żywcu. Obręcze, tafle, parkiety, faski, modele tartaków, zbiór szkodników leśnych i mapy produkcyi są najcelniejszemi okazami z Żywca. Z dóbr cieszyńskich są materyały na zapałki, forniry grubości papieru na pudełka, trzaski do wyrobu octu, skopce i faski na mleko, łaty na meble, na żaluzye, stołki ogrodowe, gonty, dna oddźwiękowe, zbiór nasion, wypchane ptactwo itd., wszystko świadectwa ruchliwości przemysłowej godnej naśladowania.

U nas sprzedaż lasu na ryczałtowe wycięcie przez Prusaków jest dotąd powszechnym zwyczajem szlacheckim. Za jednym razem pozbawionym zostaje kraj źródeł bogactwa: wyrób węgli, parkietów, zapałek, terpentyny, fornirów jest u nas zaledwo w kolebce. Kilkanaście tartaków robi już w Galicyi, ale przemysł ten ogranicza się na sprzedaż desek — o wyzyskaniu odpadków kawałków, trzasek, trocin, nikt nie pomyślał jeszcze — a zobaczymy z kolei, jak to dziś z trocin wyborny wyrabiają papier. Wszelkie machiny i narzędzia do fabrykacyj leśnych wyrabiają już krajowe fabryki machin — na miejscu można się o tem przekonać, zobaczyć je w ruchu — bogactwo krajowe prosi się, żeby go używać; ale nasi panowie wolą rumuny, Ostbahny, grę na dyferencyą— z czego potem krach, a z krachu coraz większa bieda... Ale idźmy dalej.

Oto jeszcze zbiorowa wystawa leśna kraińska. Jest to kraj żelaza, hodowli bydła i lasów — lecz jego wystawa leśna niezbyt jest obfitą. Liczne są tu okazy domowego przemysłu, jak kolebki, niecki, dzieże, skrzynie, sita, obuwie drewniane z plecioną przyszwą, modele suszarni torfu, (którego masy u nas bezużytecznie giną). W pobliżu wpada tu w oczy olbrzymia beczka, wyrób wiedeński, mieszcząca 2000 wiader — byłaby to już dosyć dogodna cela dla Diogenesa.

Wspaniałą wreszcie jest wystawa leśna styryjska w osobnym pawilonie. W środku ustawiona jest wszelka dziczyzna wypchana, po ścianach wszelkie przybory i trofea myśliwskie, a nawet tabela rezultatów myśliwstwa rozumnego — wartość ubitych zwierząt dochodzi rocznie do 150000 złr. Są tu dalej jako celniejsze okazy: (pomijam bowiem te, które już poprzednio wspomniałem) cegły palonego węgla, machiny do karczowania, ołtarz z masy papierowej z drzewa wyrobionej, cały ubiór górali i turystów alpejskich itp.

Zarody do wszelkich wymienionych tu produkcyj leśnych znajdują się i u nas, materyałów jest obfitość — ale nie ma ochoty, sprytu i cierpliwości, ducha associacyi i dostatecznej opieki rządowej. Nie udział w wystawie może nam przynieść korzyści — ale przekonanie się naoczne, jak inni pracują, co z tego mają, że nie święci garnki lepią, byle chcieć, a oczywiście i umieć. Uwaga ta stosuje się w zupełności do całej wystawy.

Dobrze się nadarza, że dla wytchnienia dla myśli możemy się dostać, zrobiwszy niezbyt długi spacer, do oddziału oryginalnego, pomiędzy grupę budynków dziwnych, gdzie nas już nie będą trapić porównywania z stosunkami krajowemi, ale gdzie oczy, a po części i wyobraźnia mogą sobie swobodnie bujać, gdzie nareszcie przy filiżance mokki, a wśród kłębów wonnego dymu można sobie wypocząć i marzyć na otomanach — oczywiście za drogie pieniądze.

Jest to świat wschodni, afrykański i azyatycki — grupa budowli, któremi, jak sami zapewniają, Wiedeńczycy nacieszć się nie mogą. Możnaby się i tu zapytać, jaki jest właściwie cel, jaki pożytek z wystawy tych wschodnich budowli, czy to jest przedsiębiorstwo prywatne, dla zysku, obliczone na ciekawość ludzką? — ale nie, bo za oglądanie nie płaci się; czyli ogromne wydatki wyłożone tu przez rządy dadzą się usprawiedliwić istotnym pożytkiem? czy wystawa jest dziełem na serio pomyślanem, czy też zbytkową, nieprodukcyjną zabawką dla dorosłych? Ale dajmy pokój melancholii i bawmy się. Oto wznosi się wspaniały pałac wicekróla egipskiego w stylu maurytańskim. Wewnątrz na pierwszem piętrze od ogrodu są sale haremowe, a obok mieszkania pana. Wszędzie tu miękki przepych i zbytek, bogate sofy, nawet biblioteka dla rozweselania nudów w tem złotem więzieniu. Na dziedzińcu biją fontanny, na dole są sale gościnne, recepcyjne. Pałac połączony jest z meczetem z kopułą i minaretem, tak jak to i w Europie bywa, że z pokojów dworskich prowadzą krużganki do kaplicy i do teatru.

Jest tu także domek fellacha, to jest gospodarza wiejskiego, oraz świątyńka, czyli grób rodziny panującej z staremi malowaniami — a z jednej strony pałacu bazar egipski, w którym sprzedają rozmaite wyroby ze skóry, pantofle, czapki, szpinki itp. Do powieści wschodnich ma się tutaj wyborną ilustracyą; kedyf zbudował sobie tutaj domek, jakiego żaden inny panujący nie ma. Jest to charakterystyczne; bo też o narodzie, o produkcyi trudno tam mówić — zastąpić je musi świetność i bogactwo panującego.

Za tym pałacem stoi willa maurytańska z Marocco. Niepozorna na oko, jest ona także cackiem w swoim rodzaju i zdaje się wcale wygodnem. Jak w poprzednim budynku, tak i tu uderza oko nader przyjemnie bujne bogactwo stylu, ozdób arabeskowych ścian i sufitów, przepych żywych, jaskrawych barw.

Przyznam się, że mnie więcej zajęło to mieszkanie jakiegoś szlachcica maurytańskiego, niż wicekróla Egiptu — bo to zawsze więcej mówi o kraju i jego zwyczajach. Przez mały kurytarzyk, ozdobiony mozaikami, wchodzi się do małego dziedzińca, osłoniętego dachem szklannym — co jakoś dziwnie wygląda, przypomniawszy sobie afrykańskie gorąco. Z tego dziedzińca, otoczonego arkadami o najdziwaczniejszych wykrętach i ostrołukach z złotemi napisami, wchodzi się do wszystkich części mieszkania. Na prawo sala jadalna, na lewo mieszkanie kobiet z oknem zakratowanem, za nim łazienka; naprzeciw wchodu mieszkanie pana domu, kapiące od barw i złota, a przy samym wchodzie kuchnia. Wszystkie zatem części mają front nie na ulicę jak u nas, ale na dziedziniec, który zapewne musi być kwiatami ozdobiony i zaopatrzony w wodę. Żyją tam ludzie dla siebie daleko więcej niż u nas — a takie dziedzińce w kamienicach takżeby się nam przydały. Przychodzi mi tu na myśl, że w największych hotelach wiedeńskich są takie dziedzińce oszklone, z wschodnim przepychem udekorowane, a służą za jadalnię i czytelnię.

W pobliżu zaraz stoi pawilon perski, zaledwo ukończony — przedmiot powszechnej ciekawości, tak jak sam szach perski, pokazujący się właśnie po całej Europie. Broń i dywany, te dwa główne produkta perskie, charakteryzują ten kraj: walka, choćby fanatyczna, i używanie miękkie, roskoszne—zresztą o całym wschodzie to powiedzieć można i wiadome to rzeczy; lecz niewiadomo było, żeby się Persowie tak kochali w świecidle, w blasku—lubo prawda, że i szach jest synem słońca. Cały ten pawilon błyszczy się, migoce – bo oprócz arabesków i kwiatów składa się przeważnie z szkła kryształowego i zwierciadeł. Cała facyata wyłożona jest szkłem, tafelkami zwierciadlanemi, pospajanemi ornamentyką z gipsu, arabeskami, medalionami; więc w jasny dzień wcale na ten budynek patrzeć nie można, tak oczy razi. Toż samo i wewnątrz. Dwoje bocznych schodów prowadzi do wschodniego vestibulum o czterech kolumnach; izby na dole mają przeznaczenie gospodarskie — na piętrze salon, balkon, boczne pokoje, a wszystko wyłożone po ścianach i sufitach taflami zwierciadlanemi, spojonemi w figury geometryczne, albo szklanne, stalaktytowe tapetowanie wśród złota i kwiatów. Co znaczy ten pawilon, czy tam tak mieszkają, czy to tylko dla szacha gospoda? nie wiem.

Z balkonu jest tu ładny widok na cały cercle oriental.

Widzimy tu kawiarnię turecką, do której musimy wstąpić. Na dachówkowym dachu powiewa turecka flaga: półksiężyc na czerwonem tle. Kilka schodów prowadzi na werandę pstro pomalowaną; wzdłuż ścian są tu ławki drewniane, mające zastąpić otomany — na nich spoczywając pali się fajkę, albo narghilę, czasem w kilku razem, gdyż do jednej takiej fajki, przepuszczającej dym przez wodę, bywa po kilka cybuchów — i pije się gęstą czarną kawę. Wiadomo, że Turcy mielą kawę nadzwyczaj drobno i wcale po ugotowaniu nie cedzą, a gotują razem z cukrem. Maszyna mosiężna, umieszczona na tyle tego pawilonu, służy zarazem jako rezerwoar na rozżarzone węgle, które garsony, pobrzebierane za Turków, wraz z dzbanami kawy dla fajczarzy roznoszą. Wewnętrzna izba jest czworograniasta z kopułką, wokoło także ławki kryte czerwonemi kocami — środek pusty. Do tych więc rozmiarów należy zredukować owo zapowiedziane wyżej roskoszne wypoczywanie na miękkich sofach, wolno wyobrażać sobie, że się biesiaduje w salach Kedyfa — bo tam w istocie może być przyjemnie... przespać się.

Do tych wschodnich okazów należą i bazary — takie same, jakie się pojawiają co roku na jarmarkach; — rozmaite Mehmedy i Abdullahy sprzedają w nich tytoń turecki, różne haftowane wyroby wschodnie, szarfy jedwabne lub złotem tkane, pantofle, toczone różańce, amulety, szkatułki z drzewa różowego itp. Gdyby było wygodniej w kawiarni tureckiej, a przedewszystkiem nie tak duszno, możnaby w niej dłużej przebywać i gapić się, na gapiących się wokoło tych wszystkich wschodnich ciekawości.

Należy tu jeszcze chiński, czy chińsko-turecki pawilon herbaciany, w którym oryginalne Turczynki z Wiednia po turecku gości obsługują, a wreszcie Wigwam, czyli namiot naczelnika indyjskiego. Całe płótno opatrzone jest dziwacznemi malunkami — a wewnątrz i naokoło jest także restauracya niby amerykańska. Tutaj usługują garsony ciemnego koloru, o rysach wschodnich— bo są to, jak zapewniają, żydkowie z Lerchenfeld. Tutaj dostanie ów słynny scherry-cobler, napój z wina i rumu w lodzie, który się pije słomkami — szklanka, to jest napoju w niej pół kwaterki 50 ct. Ci sami Amerykanie mają jeszcze na wystawie kilka restauracyj.

Nierównie więcej niż poprzednie, zajmującą jest osada japońska. Jest to właściwie ogród japoński, a w nim różne budowle. Widać tu wszędzie ścisłe, jakby chińskie naśladowanie natury. Ogród czworoboczny ogrodzony jest plecionym płotem z drzewa sprowadzonego z Japonii, tak jak wogóle wszystko, nawet żwir, krzemienie ogrodowe są sprowadzone. Tylko kwiaty umarły w drodze, i dopiero z cieplarni wiedeńskiej mają być zastąpione.

HUTA ŻELAZNA W TARNOWICY NA SZLĄSKU.

(Obacz rycinę na stronnicy 233).

Znana jest w świecie obfitość ziem polskich w kruszec najpożyteczniejszy w gospodarstwie społecznem, w żelazo, a najwydatniejsze kopalnie rudy żelaznej znajdują się u podnóża Karpat i na Szląsku tak zwanym górnym, który zagarnęły Prusy. Tam też istnieje między innemi przedstawiona na załączonej rycinie huta tarnowicka o czterech piecach, założona w r. 1855 przez pruskie towarzystwo akcyonaryuszów. Niemcy nazywają Tarnowicę w opisach swoich „ein Vorvort deutscher Cultur“; psuje im krew to tylko, że ludność tamtejsza, a nawet i górnicy są przeważnie pochodzenia polskiego, co jest najlepszym dowodem, że się panoszą kradzioną własnością. Tarnowica jestto miasteczko, położone u samej granicy polskiej, a huta tamtejsza dostarcza rocznie żelaza surowego w wartości 380,000 talarów.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, w sierpniu 1873.

(Refleksye sierpniowe. — Występy p. Kalicińskiego. — Przyszły repertuar. — Luki w dramatycznym personalu. — Dramat a opera. — Festyn Towarzystwa artystów polskich.)

Bodaj to być sprawozdawcą o stanie plonów polnych, o pokosach i żniwach — w sierpniu! Nic bardziej nienadającego się pod pióro jak zakurzone, rozpieczone mieścisko stutysięczne, potworny lazzaroni, szczerzący zęby do sierpniowego słońca. I kiedy w polu, w ogrodzie, w sadzie, pełno życia i ruchu, nieszczęsni bruków zbijacze odbywać musimy drzymki zimowe, zimowych szukać wrażeń — nie przy kominku, oczywiście! ale w zasobach lodowych naszych panów Kosteckich, Grossów i Millerów. Niechno jednak minie jeszcze tylko ten sierpień! Gdy po ściernisku pustem wiatry hasać zaczną, rozmiatać pyszne dziś drzew korony, wtedy na nas znów przyjdzie kolej — nasze nastaną żniwa. Tymczasem bodaj jaki dowód, żeśmy nie tak z kretesem zdrzymnęli...

Żebyż przynajmniej jakie nowości na zabicie tych skwarów! Wyszedł dramat Cola Rienzi znany zresztą ze sceny, wyszedł tomik poezyi p. Stanisława Grudzińskiego, najpowolniejszemu czytelnikowi wystarczający zaledwie na jedno poobiedzie, i na tem koniec. Szczęściem, gości na scenie p. Kaliciński, więc przecie jest jakaś trwalsza nowość, chociaż artystę tego do najdawniejszych właściwie zaliczamy znajomych. Z kilku występów dotychczasowych odnieśliśmy jednak przekonanie, że gra pana K. w rzeczy samej nowością jest na scenie lwowskiej, różni się bowiem znacznie od gry innych artystów, a nawet od dawniejszej samegoż p. Kalicińskiego, a różni się niestety na niekorzyść sztuki. Po kilkoletnej praktyce na deskach scen prowincyonalnych okazał się nam p. K. na wskróś zmanierowanym, pełnym przesady i nadużywającym na każdym kroku swej rutyny. Wady te, czyli raczej nawyczki, raziły najbardziej w roli księcia Rochestra w konwencyonalnym dramacie pani Birch Pfeiffer „Sierota z Lowood“, który pan K. wybrał na pierwszy występ. Nawet ekscentryczny lord ten, sam w sobie zmanierowany, dziwak i śledziennik, nie wystarczał usposobieniu artysty, w ruchach i wygłaszaniu był p. K. raczej jakimś tuzinkowym typem bajronisty, nie baronem Albionu. Bez porównania lepiej wypadła rola chłopa Pysznickiego w „Mieszczanach i Kmiotkach“, jako charakter surowszy i mniej liczący się z miarą artystyczną. Ani wątpić, że artysta jak pan K., o którego talencie z dawniejszych czasów bardzo korzystne zachowujemy mniemanie, gdyby chciał, umiałby się wyłamać z przywar, szpecących dziś grę jego, otrząść z prowincyonalnej maniery, w jaką pewnie popadł najmimowolniej w sferze, słabo kierowanej wskazówkami krytyki. Panu K. nie tyle uczyć się potrzeba, gdyż jest artystą inteligentnym, ile raczej zapomnieć niejedno, aby odzyskał stanowisko na scenie, godne swej przeszłości artystycznej.

Dyrekcya teatru podobno sposobi się skrzętnie do sezonu jesiennego. Zobaczymy wkrótce nowe sztuki, między temi kilka oryginalnych. Wartoby wznowić Korzeniowskiego, który rzadkim dotychczas gościem był na scenie lwowskiej, równie jak Bogusławski (starszy), Fryderyk Skarbek, i przerabiane z angielskiego utwory Przeździeckiego. U tych autorów szukać należy sztuk niedzielnych, „ludowych.“ Kraszewskiego sztuki, jak „Panie Kochanku“, „Miód kasztelański“, Słowackiego czarowne baśnie „Balladyna“ i „Lila weneda“ i dramata „Mindowe“ i „Mazepa“ pociągałyby także niedzielną publiczność. Szkoda, że nie popróbował nikt ukończyć „Horsztyńskiego“; nadawałaby się ta sztuka bardzo do repertuaru niedzielnego.

Szeregi, nieliczne zresztą, artystów sceny naszej, śmierć przerzedza coraz bardziej. Co najsmutniejsza, że ustępujących nie tak łatwo zastąpić świeżemi siłami. Czy w młodszej generacyi już wygasł zapał do sceny? Na lwowskiej n. p., oprócz utalentowanego pana Walewskiego, bardzo użytecznego w komedyi, i p. Köhlera, który widocznie pojmuje sztukę i na seryo oddaje się swemu zawodowi, nie mamy wcale owej „rezerwy“, na którąby na wypadek ubytku liczyć można. Lukę, świeżo powstałą przez śmierć ś. p. Józefa Baranowskiego, jako też i wiele ról po ś. p. Nowakowskim Lechu i Królikowskim Karolu, obsadzić będzie bardzo trudno, a tem samem dramat przez czas jakiś spoczywać będzie na kilku zaledwie artystach, mianowicie pp. Ładnowskim, Woleńskim, Konarskim, Kwie-

cińskim, Podwyszyńskim i Fiszerze. Czy jednak siły te wystarczą? Dyrekcya przeto głównie starać się powinna o uzupełnienie personalu dramatycznego. Może być, że występy p. Kalicińskiego i zapowiedziane pana Konopki, który z powodzeniem grywał dotychczas amantów na scenach prowincyonalnych, są właśnie dowodem zabiegów dyrekcyi w tym kierunku.

Przedwcześnie, bo w 39. roku życia zgasł nam Baranowski, uległszy słabości sercowej. Był to aktor zdolny, lecz pracując jednocześnie w drugim zawodzie, malarstwie, jak się zdaje z większem zamiłowaniem niż w scenicznym, nie zajaśniał na deskach pełnią talentu, jak inni, którym nie ustępował w zdolnościach. Celował w sztuce charakteryzowania się. Przez krótki czas był dekoratorem sceny naszej, którego to miejsca w roku zeszłym ustąpił bieglejszemu w tej sztuce p. Fabiańskiemu. Zostawił po sobie kilka dekoracyi i portretów.

Zwolennicy opery od dwóch tygodni mają znów świetny repertoar, pani Jakowicka bowiem wróciła z urlopu. W dziennikach spotykaliśmy się też z wieścią, że dyrekcya angażować zamierza ponownie pannę Kwiecińską z Warszawy. Czy budżet naszej opery zgodzi się na to? Podobno wątpić o tem należy. Wogóle bez subwencyi niepodobieństwem utrzymać operę na świetnej stopie, a silenie się na to kosztem dramatu poczytywalibyśmy za krzywdę wyrządzoną scenie.

Towarzystwo artystów polskich urządza w tym miesiącu zabawę w ogrodzie Miejskim, wraz z loteryą fantową i przedstawieniem teatralnem w arenie, umyślnie tym celem wybudowanej. Liczy się na żywe poparcie publiczności, które też, mamy nadzieję, nie chybi.

B. K.

Drezno, w sierpniu.

(Leon Wegner †. — Starzy schodzą z pola, młodzieży nie widać. — Nowe książki: dalsze zeszyty „Pantheonu“; nowy tom „Pamiętników XVIII. w.“; nowe prospekta Żupańskiego; „Z portretów familijnych; „Pol i jego pisma“; wydawnictwa Himmelblaua; „Powieści Wschodu i Zachodu“ W. Dzieduszyckiego; ruch wydawniczy w Warszawie.

List mój dzisiejszy niemal spisem tylko nowości być może, tyle ich w tych czasach się niespodzianie nagromadziło zaległych. Wątpię nawet bardzo, ażebym je wszystkie mógł wyliczyć. Poczne jednak od wspomnienia, jakie należy zacnemu pracownikowi, niespodzianie wydartemu nam, w chwili, gdy dojrzały zamyślał o nowych historycznych obrazach, gdy właśnie z druku wychodził jego Tadeusz Rejtan. Mówię o Leonie Wegnerze, którego wyborne monografie z dziejów XVIII. w. mieścił Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Znane one są wszystkim i powszechnie cenione; lecz niewiele osob znało autora, tę czystą, piękną a miłą i sympatyczną postać, skromnego i cichego człowieka, którego życie płynęło na pożytecznych trudach i posługach publicznych. Nieodżałowana to strata nietylko dla prowincyi, ale dla kraju całego, Wegner obojgu umiał służyć, i krótkie stosunkowo jego życie zużytkowane było widocznie. Słusznie też wdzięczni ziomkowie stawią mu ze składek publicznych pomnik, na który zapracował. W Poznaniu i Poznańskiem nie wiem kto czcigodnego Wegnera zastąpić potrafi. Starzy schodzą z pola, a młodzieży nie widać. Pańska młodzież, dawniej najczynniejsza w pracach dla ogółu, dziś się od nich usunęła całkowicie, a mniej zasobna na chleb własny zarabiać musi. Garstka tylko starszych krząta się tam jeszcze. Tak jest w Poznańskiem, tak u nas prawie wszędzie. Żal nam wszystkim Wegnera, a oto znowu krążą wiadomości nie dobre o stanie zdrowia Dr. Libelta, które bogdajby się okazały fałszywemi...

Z wydań w Poznaniu nowych, oprócz dalszego ciągu Pantheonu Trentowskiego, o ktorym dawniej wspominaliśmy, mamy przed sobą nowy tom Pamiętników XVIII. w, Żupańskiego, zawierający ciekawe Pamiętniki Engelhardta, wybornemi przypisami zbogacone przez tłumacza, Stolnikowicza Chełmskiego... Zmarł on już przed kilku laty także, ten troskliwy zbieracz polskich pamiątek, a przypomina się tą jedną z ostatnich swych prac, która nam nowy materyał przynosi wielce pożądany. Pamiętnik Engelhardta nie daje może faktów nowych, ale charakterystykę osób i wypadków, widzianych z jego stanowiska, wyborną a w części nową. Czyta się on z zajęciem, a przypisy dowodzą, jak wiele Konst. Podwysocki nad tą epoką pracował. Jeźli się nie mylimy, wyda jeszcze Żupański jego przekład notat Jenerała Kreczetnikowa. Wyszła także staraniem tegoż Żupańskiego, trzecia już edycya, krótkich dla ludu i młodzieży przeznaczonych dziejów narodu polskiego przez Chociszewskiego, bardzo dobrze ułożonych i illustrowanych. Jestto rzecz zupełnie celowi odpowiadająca, a niezmiernie tania... Gdzieindziej tysiącamiby się to rozchodziło... Z Poznania także przybywa nam broszura: Z portretów familijnych. Szkice humorystyczne i obyczajowe. Książka ta ma swą historyą. Jeden z portretów w kwietniu ukazał się w Dzienniku poznańskim. Stało się Larum i gwałt wielki! Co za zuchwalstwo, śmieć dotykać domowych narości i wrzodów! Kalać swe gniazdo... Powstał tedy rycerz, unus pro multis, i wydał broszurę „Dziennik poznański lekarzem chorób społecznych“, a broszura ta pełna indygnacyi konserwatorskiej, wywołała wydanie całego zbiorku portretów... winniśmy temu rycerzowi prawdziwą wdzięczność, bo może wizerunki, w których się ludzie przejrzą, trochę tę zastałą i zapleśniałą część społeczeństwa poruszą, która zgnić woli niż nad sobą pracować, niż się w czemkolwiek odmienić. Portrety są drastyczne wielce i zawierają ośm sztuk w sobie. Człowiek z poświęceniem. Człowiek czynu. Hrabina Klein-Bismarck. Teorye pana Ignacego. Syn wielkiego Ojca. Moje nawrócenie. Młodzieniec pełen nadziei. Monografia polskiej wioski. Treści tych satyrycznych trafnych wizerunków podać niepodobna, trzeba je czytać i szczęśliwemu pomysłowi przyklasnąć. Tam gdzie poważne prawdy są ignorowane i odrzucane, często dowcipne szyderstwo i obrażenie śmieszności jest jedyną bronią. Portrety są z pewnego względu historycznym materyałem do dziejów W. Ks. Poznańskiego, których znaczną część pokrywa nieprzebita zasłona. Tu o wielu rzeczach pisać się nie godzi, o innych nie można, o niektórych niewypada, o pewnych nie uchodzi, o mnóstwie nie pozwala polityka, o reszcie okoliczności nie dopuszczają, i kończy się na tem, że społeczność bezkarnie zgnić sobie może wśród tej ciszy i ciemności. Jawności i swobody głosu nadużywają ludzie bardzo często, to prawda, lecz też przez przesadne pohamowanie i fałszywe rachuby daje się lęgnąć robactwu w najdroższych szychtach

społecznych, któreby ocalić mogło jedno piorunowe słowo. Oprócz uznania talentu, należy podnieść wysoko odwagę cywilną autora, który śmiał to ogólne przerwać milczenie. Lecz, patrzcie, tym razem żaden unus pro multis juz się nie odezwie, głuche milczenie... społeczność ignoruje i nie czyta... Strusie kochani, którzy głowę chowają w krzaki, aby nie widzieć niebezpieczeństwa.!

Z wielką ciekawością wzięliśmy w ręce u Himmelblau'a w Krakowie wydaną ślicznie i elegancko wyglądającą książkę... Pol i jego pisma. Z rozmiarów jej sądząc, a na tytule spostrzegłszy imię Łucyana Siemieńskiego, spodziewaliśmy się gruntownego i wyczerpującego ocenienia pism zgasłego poety... Niestety! co za niespodzianka! Tytuł z książką wcale sobie nie odpowiadają. Krytyk wykręcił się sianem; o Polu powiedział to, co wszyscy wiedzą, i dał znakomite wypisy z dzieł jego... Rzecz wyborna, ale okładka bałamutna. Siemieński, gdyby chciał, (ale niezawsze chce) mógłby nam istotnie dać wizerunek Pola — tymczasem wolał dać łatwiejsze próbki dzieł jego...

Tenże sam p. Himmelblau wydał Mecherzyńskiego krótką historyą literatury polskiej, o którą widzę, że się i w Warszawie ludzie spierają, czy dobra czy zła, czy dla młodzieży użyteczną być może, czy nie. Co się tyczy historyi literatury wogóle, jest to pono rzecz, którąby z gruntu u nas trzeba przerobić i pojąć trochę szerzej. Wszystkie niemal w tym przedmiocie wydane dzieła, a było ich i jest dosyć, są waryaciami na kilka zużytych, niedość rozwiniętych tematów. Nazwisk wiele, rzeczy mało, a najczęściej można ściślej rozpoznając je, przyjść do tego przekonania, iż autor tego, o czem pisze—nie czytał. Nie stosujemy tego bynajmniej do uczonego prof. Mecherzyńskiego.— Naostatek ów Himmelblau krakowski dał jeszcze nowe wydanie poezyi Edm. Wasilewskiego, miłą pamiątkę po krakowskim spiewaku...

Jako odbitka osobna z odcinka Kraju, wyszły powieści Wschodu i Zachodu hr. Dzieduszyckiego, z bogatych zasobów nauki i talentu, rozrzutną dłonią rzucone w świat obrazy, które tylko u nas mogły przejść tak prawie niepostrzeżone, wcale nie osądzone i nie ocenione. Mieliśmy zręczność niegdyś mówić już o autorze, przyznając mu dar rzeczywiście potężny i rokując świetną przyszłość. Powieści Wschodu i Zachodu nie zadają nam kłamu bynajmniej, lecz nową odkrywają stronę. Hr. Dzieduszycki musi tylko trochę zestarzeć i chcieć być jednym z najznakomitszych naszych prozaików — a będzie nim niezawodnie. Bogactwo fantazyi olśniewające, zasoby ogromne, niech to tylko nie będzie pańską fantazyą i chwilową rozrywką, ale poważnym celem, niech to nie będzie zabawką, ale pracą... Talentów takich mamy mało.

Warszawskich nowości nie wciągamy do naszego rejestru... Tam przeważnie panuje nauka, studia przyrodnicze, tłumaczenia nowych teoryj, przekłady dzieł historycznych (Macaulay'a) i walka pozytywistów z idealistami. Walka ta odbiła się nawet w szkicach Kostrzewskiego do Tygodnika ilustrowanego, odzywa się w kuryerkach, przesiąka życie powszednie, czuć ją jako wielką troskę obecnej godziny. Utyskiwania na pozytywistów powszechne... lecz czy istotnie są tak groźne? hę?? przyszłość okaże. Ludzkość musi coś zawsze mieć do przeżuwania, to darmo...

Do liczby dzienników istniejących przybył w Warszawie — Wiek, gazeta wielkich rozmiarów, redagowana bardzo starannie, a przeznaczona jak się zdaje na rozbudzenie dziennikarstwa miejscowego do nowego życia. Będzie to jej zasługą. Gdy w Galicyi Kraj musiał sobie poły obciąć, aby wyżyć, gdy oprócz Narodówki, która stoi o swych siłach i Czasu stojącego nie na siłach, ale na posiłkach, żaden nowy dziennik wyżyć tu nie może, gdy w Poznaniu Dziennik niemal ofiarnictwem się trzyma, a Kuryer subsydyami arcybiskupstwa, w tej biednej Warszawie, nowo przybyły Wiek nie odebrawszy nikomu abonentów ma ich kilka tysięcy... Moralnego upadku Galicyi i Poznańskiego, którego najlepszym termometrem jest zobojętnienie dla wszelkiego umysłowego zajęcia, niepodobna nie widzieć. Niezdrowa polityka i pozytywne, a praktyczne spekulacye, które tylko bankructw i ruin namnożyły, zepsuły nasze społeczeństwo. Mają trochę na sumieniu Stańczykowie, którzy ze strachu rewolucyi wszelki ruch żywszy potępili, a patryotyzm ohydą okryli i szyderstwem wyświecili z domu. Przestroga ś. Pawła — Nollite spiritum extiequere, przydałaby się tym bogobojnym pracownikom, którym uczciwej i dobrej woli niezaprzeczamy, ale pojęcia zdrowego, warunków życia narodowego najzupełniej. Zarozumiałość ich i duma równoważą się z ciasnym poglądem. Wracając do Warszawy zapowiada się tam przyobiecane wydawnictwo Lewentala celniejszych dzieł literatur europejskich. Plan któryśmy widzieli, olbrzymi, i na długie lata osnuty. Pocznie się podobno od wydania wyboru pism Jana Kochanowskiego, coby było wielce pożądanem, jeźli je przygotować zechce prof. Przyborowski, który jak wiadomo, wiele nad tem pracował.

J. I. Kraszewski.

Ze Świata.

(Sztuczka giełdowa). Najnowszy krach na giełdzie wiedeńskiej przywodzi nam na myśl następujący ciekawy wypadek, który wydarzył się w Paryżu w czasie restauracyi:

Pewien jenerał, który często bywał u dworu, odwiedził pewnego poranku jednego z najsławniejszych bankierów ówczesnych i powiedział mu między innemi:

— „Właśnie przybywam z zamku, gdzie otrzymano wiadomość o bardzo ważnem zdarzeniu, które dotąd jest jeszcze tajemnicą, ale wieczorem stanie się już głośnem.“

— „I jakież to zdarzenie?“ — zapytał bankier.

— „Turecka flota została przez Francuzów, Anglików i Rosyan pod Nawarinem zupełnie pobitą i zniszczoną.“

— „Doprawdy?“ — odparł bankier z miną obojętną. — „Chciej mi przebaczyć, panie jenerale, że na chwilę pana opuszczę; natychmiast powrócę.“

Gdy upłynęło już pół godziny, dziwił się jenerał tak długiej nieobecności bankiera i chciał odejść, ale zastał drzwi zamknięte. Zadzwonił nikt nie przyszedł; otworzył okno wychodzące na ogród i wołał ze wszystkich sił, ale nikt się nie pokazał. Dopiero po trzygodzinnym areszcie powrócił bankier i rzekł:

— „Chciej mi przebaczyć, jenerale, że zabawiłem nieco dłużej, niż myślałem odchodząc ztąd...“

— „Nieco dłużej? — przerwał mu jenerał — całe trzy godziny! Czy nie raczyłbyś pan wytłumaczyć mi, co znaczy ta mistyfikacya?“

— „Ona znaczy, że pracowałem dla pana i dla sieble. Udałem się z wiadomością pana wprost na giełdę; ażeby jednak zysk odnieść, musiała być tajemnica ściśle zachowaną. Otóż zdaje mi się, że milczenie należy do rzędu owych cnót ułomnych, których można być zupełnie pewnym dopiero wtedy gdy się je zamknie. Pan nie weźmiesz mi za złe tej nieufności, której celem była korzyść moja i pańska, gdyż przybrałem pana do spółki w mojej spekulacyi. Oto udział pański w zysku.“

To mówiąc położył bankier przed jenerałem pięćdziesiąt banknotów po tysiąc franków, i jenerał uznał, że zysku tego nie opłacił zbyt drogo trzygodzinnym aresztem.

Nowe książki.

Przyszłość. Poemat dramatyczny w pięciu aktach przez Leona Ch. — Kraków, w drukarni „Czasu“.

Poemat ten pod względem pomysłu i tendencyi swojej należy do coraz bardziej rzadkich u nas pojawów: Wiara, Miłość i Nadzieja zeń tchnące od chwili już tylko do chwili wychylają jasne oblicza swoje — z przeszłości. Niewątpliwie i ten poemat dawno już bardzo się urodził: okrom słów własnych autora w przedmowie, zdradza wiek jego i młodzieńcze niewyrobienie formy: wiele żywych w nim jeszcze a w rzeczywistości znowu srogo zawiedzionych nadziei.

Misya Polski: jako arki przechowującej wolność i miłość aż do chwili danej—a następnie przewodniczki wszystkich narodów na drodze do oswobodzenia się i zbratania — stanowi myśl przewodnią poematu. Scena jego przenosi się z Syberyi na Kaukaz — z podziemia spisków, na pole bitew — i kończy się wspaniałym wiecem narodów na nadwiślańskich polach.

Mnóstwo wiecznie pięknych myśli i haseł ogólnych rozbrzmiewa na kartach tej książki.

Jest to wizya przyszłości, zrodzona w gorącej wyobraźni Polaka — ogarniającego miłością świat cały. Na sztandarze jego bohaterów napisano: „Za Waszą i naszą Wolność!..“

Myśl ta jednak odziana w słabą i niemowlęcą formę. Figury wszystkie idealne, obłoczne — bez wyraźnych konturów — mówiące ideje. — Akcya za kulisami. Dyalog patetyczny nad miarę — to znowu rozwodniony i nic nieznaczący. — Brak oryginalności — widoczny w mnóstwie komunałów; wiersz biały rzadko rytmiczny; — rymowany — bez poezyi i harmonii: słowem dla artysty utwór to chybiony, — dla Polaka miłe echo uczuć i przekonań brzmiących cichutko — w wielu jeszcze piersiach — dzięki Bogu!

Wiązanie Adasia przez Władysława Bełzę. — Poznań. Nakładem autora. 1873.

Jeżeli wskażemy na tę książkę, jako na nowy dowód szczególnego talentu p. Bełzy do pracy dla młodego pokolenia, będziemy tylko echem ogólnego głosu krytyki, która przy każdem nowem dziełku p. Bełzy dla młodzieży — począwszy od abecadlnika, od nieodżałowanego „Promyka“, aż do obecnego utworu jednozgodnie i stale fakt ten konstatuje.

I w samej rzeczy literatura nasza piękne miejsce dla tego młodego pisarza gotuje, jeżeli ten zechce poświęcić się wyłącznie pożądanemu, tak wybornie odgadniętemu kierunkowi. Najtrudniejszą jest rzeczą w życiu i w sztuce obliczyć się z naturą i doniosłością sił swoich, naznaczyć im odpowiednią drogę i zakres; ale kto trudność tę szczęśliwie zwyciężył, nie zmarnuje życia ani talentu na błędnych drogach.

P. Bełza coraz widoczniej zyskuje tę błogosławioną świadomość. Serdeczny poklask i gorąca zachęta krytyki towarzyszyć mu będą niewątpliwie na tem polu, skąpo uposażonem w pracowników... P. Bełza łączy z subtelną intuicyą dziecięcego świata, jaką posiadał Jachowicz, piękną i wyrobioną formę, której tamtemu brakło; dar, wedle nas, nieoceniony i konieczny dla estetycznego wykształcenia dziatwy. Etyka tylko zyskać może w rękach artysty.

W „Wiązaniu Adasia“ jest pełno perełek poetycznych, pełnych prostoty i świeżości, przy melodyjnej prawie piękności formy.

Nieznaczny cień, jaki stanowią nic nieznacząca „Alfa i Omega“ i manierowana „Rozmowa z gołąbkiem“, przechodzi niespostrzeżony prawie.

Poczta »Strzechy.«

Pani L... Dla pięknej fantazyi Pani właściwsze byłoby miejsce w piśmie dla kobiet wyłącznie przeznaczonem. Dla „Strzechy“ zresztą praca jest za obszerną, ile że zapas nasz manuskryptów na cały rocznik bieżący wystarczy. — Rękopis jest do zwrotu w księgarni Wydawcy.

Panu S. W.. Z nadesłanego nam w czerwcu wierszyka zrobimy przy sposobności użytek. — Rzecz, odstąpiona „Przyjacielowi domowemu“ ukaże się niebawem, i dotyczący numer będzie Panu przesłany. — Ostatni list pański z P. doszedł.

Panu M... Poezya, kochany Panie, nie zasadza się wyłącznie na powiązaniu zdań jednobrzmiącemi końcówkami. Dążność, uczucie, wrażenie, refleksya są jej duszą.

Nadesłane nam utwory, po największej części wiersze, o których nie czynimy na tem miejscu wzmianki osobnej, nie kwalifikują się do drukowania w naszem piśmie.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER. Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.